ZNACZENIE SŁOWA BOŻEGO.

osyć często przeciwstawia się pojęcia mówcy (retora) i kaznodziei — niezupełnie słusznie. Między homiletyką a retoryką, czyli między wymową kaznodziejską a wymową świecką jest taki mniej więcej stosunek, jak np. między katechetyką a dydaktyką ogólną. Katechetyka — to cała dydaktyka plus jeszcze specjalne wskazówki, wypływające z natury tak wyróżniającego się przedmiotu, jakim jest nauczanie religji.

Podobnie homiletyka nie przeciwstawia się retoryce, lecz na niej się opiera. Homiletyka — to cała retoryka plus zasady specjalne, mające na uwadze głoszenie Słowa Bożego.

Czemże bowiem jest kaznodzieja, jeśli nie mówcą (retorem), głoszącym Słowo Boże? A jeśli dobrze głosi prawdy Boże, czyż przez to nie jest dobrym mówcą? Jeśli zaś jest dobrym mówcą, cóż mu przeszkadza być dobrym kaznodzieją?

I przeciwnie: zły kaznodzieja bywa również złym mówcą, a zły mówca nie będzie nigdy dobrym kaznodzieją.

L. Veuillot tak charakteryzuje złego kaznodzieję, który równocześnie jest złym mówcą: „Kaznodzieja na ambonie... Jestem, by go słuchać, jestem w obecności Boga, którego proszę, by oświecił mój umysł, poruszył serce, bym uważał ze czcią należną. Zaczyna tekstem z Pisma św., które jest Słowem Boga samego. Zapowiada temat, który rozwinie, jest to punkt nauki Bożej, który bardzo interesuje mój umysł, dotyczy mego życia praktycznego teraz i w wieczności; zarządza modlitwę do M. B. za siebie i słuchaczy, modlę się żarliwie, bo jakież zaprawdę może być lepsze przygotowanie?

Ale nie mówi jeszcze 10 minut, a już jestem roztargniony. Gubi się w rozważaniach filozoficznych, dziecinnych, ciemnych, robi dociekania historyczne, rzuca się na prawo i lewo. Grzmi przeciwko światu, czego słucham niechętnie, bo on go gruntownie nie zna, ja nie poto przyszedłem do kościoła.

Porusza ogólniki z moralności i literatury. Styl jego napuszony, pretensjonalny, bez namaszczenia, nienaturalny. Czasem dostrzegam, że czytał dzieła współczesne i że mu się podobały; że czytał rzeczy dawniejsze, ale z nich zapamiętał to tylko, co na dziś najmniej stosowne. Wiem dokąd zmierza i opuszczam go szczęśliwy, żem nie zaprzątał swej uwagi wykroczeniami jego przeciw dobremu smakowi i naiwnością, która ukazuje w nim czytelnika zbyt niekrytycznego tej książki lub tamtego dziennika.

To popisywanie się lekturą i literaturą z początku drażniło mię, ale w duszy oskarżałem siebie, żem nie mógł słuchać z prostotą. Widziałem jednak, że i proste kobiety i pobożne dziewczęta, które nie czytały nigdy nic więcej prócz modlitewnika i katechizmu, też poruszały się niecierpliwie, jak i ja.

Innym razem znalazłem się również w towarzystwie prostych kobiet pod amboną mego proboszcza. Prosta jego nauka bez sztuki, bez frazesów, bez sadzenia się, często zaniedbana, gdzie pierwsze słowo, jakie się nastręczy — jest dobre, gdzie antyteza jest rzadkością, gdzie budowa zdań bywa nieraz barbarzyńska, a jednak przemówienie to zupełnie mię zadowoliło, podobnie jak i innych słuchaczy. Odniosłem wrażenie czegoś szczerego, mocnego, zajęło mię to, wprawiło w nastrój podniosły na resztę dnia, a nawet i na dłużej. Nie jestem więc znowu tak wybredny.

Nie! to co potępiam — to rozprawianie, które nie potrafi znaleźć drogi do mego serca, które trafia w próżnię, gdzieś daleko od mych potrzeb jużto tkwiących w mej naturze ludzkiej, jużto takich, które pochodzą z atmosfery otaczającej mię, z czasów, w których żyję.

...Wolałbym, by mniej mówiono o tańcach modnych do kobiet, które nigdy nie tańczą, by nie piorunowano na karciarzy czy pijaków, gdy ich w kościele wcale niema. Nie jesteśmy ani zbyt światowi, ani szulerzy, ani niewierzący, ani fałszywi dewoci, jesteśmy natomiast nieuświadomieni, zimni, obojętni, rozluźnieni.

Trzebaby przerabiać z nami katechizm, mówić nam o ukochaniu Kościoła, o obowiązku poznania religji, bronienia jej i propagowania. Potrzeba nam dzisiaj nietylko bronić się przeciwko zarzutom niedowiarków współczesnych, lecz także i przedewszystkiem przeciwko tej, godnej pożałowania, obojętności, która sprawia, że poza kościołem może jeszcze jesteśmy uczciwymi ludźmi, ale chrześcijanami nie jesteśmy!..

Chciałbym, by kaznodzieja nigdy nie stracił z oczu tego celu, o który przedewszystkiem idzie: uczynić chrześcijan chrześcijanami.

Gdyby ta mała liczba wiernych, którzy uczęszczają na nabożeństwo była rzeczywiście tem, czem być powinna, gdyby miała uświadomienie religijne, ukochanie Ewangelji, żarliwość, to wystarczyłoby to do zmiany świata"[1]).

Zasadniczem prawem wymowy zarówno świeckiej jak duchownej będzie uwzględnianie potrzeb słuchacza i natury przedmiotu, o którym się mówi. Przedmiot i słuchacz różniczkują wymowę.

Czemże jest mówca? To dusza przepełniona swym przedmiotem, pragnąca nim napełnić dusze słuchaczy. Jeśli będzie on miał przed sobą surowych sędziów do przekonania, albo wyborców czy wybrańców sejmowych do skaptowania — będzie mówcą świeckim; jeśli przemawiać będzie do chrześcijan w sprawie duszy ich, będzie kaznodzieją. Środki w obu wypadkach będą podobne: żywo, gorąco, obrazowo przedstawić rzecz, włożyć w przemówienie całą swą duszę i serce.

Plato określa wymowę jako „sztukę kierowania duszami przez słowo (Fedr., c. 43). Jeżeli wnikniemy głębiej w istotę, zadania i środki wymowy, to zauważymy we wszystkich jej formach celowe, roztropne, ciepłe oddziaływanie na duszę ludzką, raz z naciskiem na rozumową stronę, to znowu na wolę i serce, najczęściej na wszystkie władze duszy, na całego człowieka.

Widzimy, że definicja Platona jest dosyć szeroka i wygodnie mieści różne rodzaje wymowy, łatwo da się ochrzcić i schrystjanizować. Łaska Boża buduje na naturze, wymowa kaznodziejska również jak na naturze, opiera się na wymowie świeckiej, ma tylko inne cele i nieco innemi środkami się posługuje.

Celem kazań, nauki Zbawiciela jest zapewnienie życia nadprzyrodzonego wiernym: *Ego veni, ut vitam habeant et abundantius habeant* (Jan 10, 10) — czyli życie nadprzyrodzone, które trzeba budzić, rozwijać, doskonalić: — słowem człowiek duchowy, nadprzyrodzony i jego zbawienie.

Dzisiejsze kazanie to dalszy ciąg Ewangelji Chrystusowej. Powiada św. Franciszek Salezy: *Quis igitur praedicanti in praedicando finis? Non alius is sit oportet, quam facere quod*

---

[1]) Le libre penseur, (str. 28 i nast.).

Dominus in hunc mundum venit ut faceret. De quo et quid ipse dicat: Ego veni ut vitam habeant et abundantius habeant. Finis ergo praedicatoris est, ut peccatores mortui in iniquitate in justitia vivant, et justi, qui vitam spiritualem habent, abundantius eam habeant, magis magisque se perficiendo. To zaś w najdoskonalszem, w najszlachetniejszem znaczeniu jest kierownictwem duchowem przy pomocy słowa. Kaznodziejstwo tedy wedle określenia Platona byłoby sztuką kierownictwa duchowego zapomocą Słowa Chrystusowego w kierunku nadprzyrodzonym.

Najznakomitszy wśród współczesnych teoretyków kaznodziejstwa [1]) określa króciutko istotę wymowy: *dire quelque chose a quelqu un* — powiedzieć coś do kogoś. Wygląda to zbyt prosto, aż banalnie, ale rzeczywista w tem istota wymowy wszelkiej: powiedzieć coś komuś. Wymowa ma tysiące rzeczy do powiedzenia, tysiące form i środków, tysiącznemi drogami trafia do serca słuchaczy, ale z tem wszystkiem musi powiedzieć coś. Bo poza osłonkami pięknej formy, gdy zbraknie treści, prześwituje ubóstwo myśli i przerażająca próżnia.

Może jednak być treść bogata, wyrażenie treści zupełnie dobre, a swoją drogą nie trafi do słuchacza; — będzie, jak ktoś trafnie się wyraził, symfonją religijną, wykonaną gdzieś między niebem a ziemią.

Przedmiot wymowy kaznodziejskiej jest obszerny, podniosły, aktualny zawsze i świeży, choć odwieczny i niezmienny. To Objawienie Boże w ewangeljach, i wyjaśnienia Ojców, to orzeczenie Kościoła, to nauka doktorów, teologów, ascetów, jakby przedstawione na scenie w liturgji, praktycznie pokazane w historji Kościoła i w życiu świętych, a wszystko skupione w osobie Jezusa Chrystusa, który jest punktem centralnym kaznodziei. Jeżeli kaznodzieja tego przedmiotu nie ukocha, nie będzie go z całą żarliwością przelewał w dusze słuchaczy, może być mówcą, kaznodzieją nie będzie. Być wymownym, to znaczy powiedzieć coś, co trafi do słuchaczy.

Bo mówimy nie dla siebie. Mówimy poto, by ktoś, słuchacz, nasze ideały ukochał i w czyn wprowadzał.

...Ten „kochany brat“, jak tytułujemy naszego słuchacza, o którym, przygotowując kazanie tak mało myślimy, a nawet przy wygłaszaniu nie zawsze mamy jego potrzeby na uwadze.

---

1) Longhaye: La Prédication, str. 12.

Oto u stóp naszej ambony ten „kochany słuchacz“ uzależniony całkiem od nas w doborze duchowego pokarmu. Trzeba nam go znać, by nietylko nakarmić odpowiednim pokarmem, lecz także, by mu pokazać, jakim sam jest, skreślić mu niejako portret jego, dotknąć go ręką delikatną ale pewną, by go opanować i doprowadzić do Boga.

A któż ten słuchacz? Człowiek przeciętny, codzienny, chrześcijanin dobry lub obojętny, a nawet zły, obywatel swego kraju, człowiek swego czasu, z takim lub innym charakterem, skłonnościami...

Ale jest on też człowiekiem z naturą ludzką, odwieczną, transcendentalną jakbyśmy powiedzieli, niezmienną, to chrześcijanin, zdolny do życia nadprzyrodzonego. Otóż te wszystkie znamiona stałe i zmienne, indywidualne i ogólne trzeba w słuchaczu brać pod uwagę, by być prawdziwym kaznodzieją.

Definicje Platona i Longhaye'a są podobne do siebie — wymowa świecka i duchowna istotnie się nie różnią, mają tylko różny przedmiot i różnego słuchacza. Wymowa świecka ma na celu dobro doczesne, naturalne słuchacza, wymowa kaznodziejska zaś dąży do uświęcenia swych słuchaczy przez Słowo Boże.

Z powyższych rozważań łatwo już wyprowadzić wnioski o wielkiej doniosłości kaznodziejstwa pod względem religijnym i społecznym, dla słuchaczy, a także i dla samego kaznodziei.

Kaznodziejstwo jest kierownictwem dusz przy pomocy Słowa Bożego — w tem też cała jego wielkość. Powiada św. Teresa w liście do kaznodziei: „Obyście często myśleli o tem, jak wielki urząd zlecił wam Bóg, z jaką czujnością i starannością należy go sprawować. Niemasz zajęcia ważniejszego w oczach Bożych nad kierownictwo dusz. Dla dusz wszystko on stworzył, stał się człowiekiem, by z ludźmi mógł obcować. Wielka to zaiste godność sprawować urząd, który sam Bóg sprawował i być zastępcą tego kaznodziei, który w życiu i w słowie winien być waszym wzorem“.

Słusznie mówi Apostoł: *Pro Christo legatione fungimur, tamquam Deo exhortante per nos* (II Cor. 5, 20); *in me loquitur Christus.* Pożycza sobie niejako Chrystus naszego organu mowy, naszych ust i przez nie głosi swą naukę ludowi. I tak to przyjmuje lud wierny: *Accepistis illud non ut verbum hominum, sed sicut est vere — Verbum Dei. Verbum Dei!* jak nieskończenie przewyższa ono słowo ludzkie! To Słowo nie-

omylne równie jak Bóg sam, gdy mądrość ludzka tak często bywa złudzeniem, zwątpieniem i ciemnością! To słowo, które jest niezmienne i aż do ostatniego punktu musi się wypełnić, gdy niebo i ziemia nawet przeminą; to słowo, o którem powiedział pewien pisarz, że nie jest mniejszem od ciała Chrystusowego. Kaznodzieja to wedle św. Augustyna *Dictor verum magnarum... Omnia magna sunt, quae dicimus. (Doctr. chr.*, l. IV, c. 19).

Co za wielka godność! Cóż jej można przyrównać na ziemi? Jesteśmy heroldami Boga, wysłańcami Królestwa Chrystusowego, organem mowy Bożej. Nam powierzono skarby Objawienia Bożego, my mamy je dwudziestemu wiekowi podawać; my mamy dać ludzkości dzisiejszej, zepsutej, rozpieszczonej strawę duchową, jakiej dać i zastąpić nie może żadna mądrość i nauka tego świata. Każde cierpienie pocieszyć, każdą duszę opuszczoną wspomóc, do każdego serca wpuścić promień radości i światła, strudzonej jarzmem codziennego życia ludzkości ulżyć, dać jej odetchnąć powietrzem wiecznej ojczyzny, skalane sumienia skruszyć i poddać im żal serdeczny, zbłąkanym wskazać drogę, a wolę do czynów pobudzić, duszę zapalić ogniem miłości Boga i bliźniego, uzdolnić do heroicznych porywów, cnót i poświęceń, a uodpornić na zarazę moralną, czyż to nie wspaniałe widoki dla pracy naszej? Od niej zależy wygrana albo przegrana życia, zbawienie duszy, szerzenie Królestwa Bożego.

Niemniej doniosłe znaczenie kaznodziejstwa w porządku społecznym. Powiada Freppel: „Podnieść umysłowość ludu do wyżyn dogmatu, zapalić jego serce ukochaniem tego, co dobre — to już wielka rzecz. Ale zgromadzić koło ambony wszystkie niedomagania ludzkie, kazać defilować przed oczami bogatych i szczęśliwych tego świata cały ten orszak nieszczęść, który towarzyszy ludzkości w jej pochodzie poprzez wieki; kazać przemówić kolejno strapieniom jednych, cierpieniom drugich, nieszczęściom wszystkich, zgrupować wszystkie przeróżne jęki, by je skondensować w jeden wielki krzyk bólu, któryby był zdolny przeszyć serce tych, którzy je jeszcze mają, któryby wycisnął łzy tym nawet, co go już nie mają, albo sądzili, że go nie mają... Postawić tedy w ten sposób biednego na scenę ze wszystkiemi trudnościami życia, ze straszliwemi perspektywami na przyszłość, pokazać po prawicy miłość, co się poświęca, po lewicy egoizm, który zamyka dla tego ubogiego serce i rękę, otworzyć przy pomocy pierwszego drugą, jako

obfite źródło miłosierdzia, obudzić wyrzuty sumienia, wydostać z serca swojego co najwięcej siły i miłości, by wzbudzić litość, poruszyć szlachetność, zapalić ofiarność, oto najpiękniejszy użytek, jaki może człowiek uczynić z wymowy, oto racja jej bytu". Rzeczywiście kaznodziejstwo łagodziło zatargi polityczne i społeczne (św. Jan Chryzostom, św. Ambroży, św. Leon W., Skarga), uspołeczniało całe narody i cywilizowało je przez głoszenie samo najbardziej uspołeczniającej i cywilizującej nauki Chrystusowej.

Dla wielu jednostek, nawet dziś jeszcze, w dobie rozkwitu cywilizacji, ambona jest jedyną katedrą z której słyszą o rzeczach wyższych, niż te codzienne, materjalne zabiegi o chleb powszedni. Jak trudno byłoby obliczyć realnie wartość promieni słonecznych, czy deszczu ciepłego dla utrzymania, budzenia i wzrostu życia na ziemi, tak trudno zliczyć dobroczynne skutki Słowa Bożego dla ludzkości.

Im większe zadania mamy do spełnienia, tem większymi sami stajemy się. Kaznodzieja jest heroldem Boga; wprawdzie kaznodziejstwo nie jest ósmym sakramentem, jak chcieli niektórzy heretycy, ale szafarstwo jego, po sakramentach należy do rzeczy najświętszych. Słusznie też za dobre administrowanie tego urzędu należy się specjalna chwała w niebie. Św. Tomasz tak o niej mówi: *Sicut per martyrium et virginitatem aliquis perfectissimam victoriam obtinet de carne et mundo, ita et perfectissima victoria contra diabolum obtinetur, quando aliquis non solum diabolo impugnanti non cedit, sed etiam eum expellit, et non solum a se, sed etiam ab aliis. Hoc autem fit per praedicationem et doctrinam. Et ideo praedicationi et doctrinae aureola debetur, sicut et virginitati et martyrio. Nec est dicendum, ut quidam obiciunt, quod tantum debeatur praelatis, quibus competit ex officio praedicare et docere; sed quibuscumque qui licite hunc actum exercent. Cum dicitur, quod doctrinae debetur aureola, intelligendum est doctrinae, quae est de pertinentibus ad salutem, per quam diabolus a cordibus hominum expugnatur, sicut quibusdam spiritualibus armis. (Thom. In IV, dist. 49, 2, 5, solut. 3, et ad 3).*

Ks. W. Kosiński.

WYROBIENIE ASCETYCZNE KAZNODZIEI.

I.

(Pobudki).

1. Wszyscy dziś jedno widzimy i przyznać musimy, że zadanie kaznodziejstwa katolickiego jest w dzisiejszym świecie powojennym olbrzymie, wprost nadludzkie. Albowiem zadaniem jego jest — odrodzić znów świat, tak niesłychanie znieprawiony; odnowić oblicze ziemi, tak przerażająco spoganiałej. A więc zadanie podobne do tego, które niegdyś stanęło przed Apostołami.

To też poprzez świat ludzi głębiej i dalej patrzących idzie nietylko gorące pragnienie, ale i coraz głośniejsze i częstsze wołanie: „Dajcie nam prawdziwych apostołów, dajcie nam świątobliwych kapłanów i gorliwych kaznodziejów, a odrodzą i odnowią się dusze ludzkie!“ Tak jest dziś w całym świecie.

Nam kapłanom polskim przydzielił Bóg do uprawy przedewszystkiem tę cząstkę winnicy swojej, która jest zakreślona granicami Ojczyzny naszej. Dziś ona taka zachwaszczona i spustoszona; dziś tyle kąkolu nasiał w niej nieprzyjaciel. Kąkolu niedowiarstwa i sekciarstwa, kąkolu świętokradztwa i obojętności religijnej; kąkolu socjalizmu, masonerji i komunizmu, kąkolu pornografji, rozpusty, nienawiści klasowej i wszelakich zbrodni. Prawie rozpoznać dziś nie możemy tej drogiej Ojczyzny naszej. Istna powódź zła, istne bagno moralne ją zalało! Któż temu położy tamę?

W tym zamęcie powszechnym wszystkich oczy zwracają się instynktownie ku Kościołowi św., ku jego biskupom i kapłanom, po nich spodziewając się słusznie ratunku i zbawienia. W Polsce już powszechnie ustaliło się to przekonanie, że jedynie Kościół katolicki zdolny jest najskuteczniej i najprędzej uleczyć ciężko chore społeczeństwo nasze.

„Kapłani polscy współcześni!“ — możnaby dziś wołać na całą Polskę — „czy wy zdajecie sobie sprawę i rozumiecie należycie dzisiejsze wielkie zadanie wasze? Czy wy dorośliście do tego zadania i będziecie umieli mu sprostać?“ Jaka odpowiedzialność przed Bogiem i narodem spadnie na nas, jeżeli to olbrzymie zadanie zastanie nas karłami, niezdolnymi ruszyć tego ciężaru! Jakie przekleństwo Boga i przyszłych pokoleń by nas ścigało, gdyby można i trzeba o nas powiedzieć: „Tak, duchowieństwo polskie okresu po wojnie światowej, ducho-

wieństwo polskie tych wielkich dziejowych chwil i przewrotów na początku XX wieku, nie stanęło na wysokości swego zadania, — zaprzepaściło tę drogocenną chwilę zatamowania zła, — samo zwietrzało i zeświecczało wraz z resztą znieprawionego społeczeństwa — i dlatego tyle dusz poszło na zatracenie, i dlatego Kościół w Polsce tyle poniósł strat, i dlatego Polska i my, pokolenia późniejsze, tyle do dziś dnia cierpieć musimy“.

Czy chcielibyśmy także słowa złorzeczeń przyszłych pokoleń ściągnąć na siebie? — A więc *„abyssus abyssum invocat“* (Ps. 41, 8) — powiedzmy sobie: Przepaść domaga się przepaści!

Przepaść zła i bezbożności dzisiejszej domaga się od nas kapłanów przepaści dobra i świętości.

Przepaść wyuzdania moralnego i zdziczenia obyczajów domaga się od nas przepaści obyczajów i życia bez skazy.

Przepaść nienawiści żąda przepaści miłości.

Przepaść używania — przepaści abnegacji i zaparcia się.

Przepaść obojętności — przepaści zapału i gorliwości.

Tylko przepaścią można przepaść zapełnić.

To pierwsza dziś pobudka dla nas kapłanów i kaznodziejów polskich do stania na wyżynach moralnych społeczeństwa — pobudka dziejowa.

2. Drugą pobudką nieodpartą, najpotężniejszą, pobudką na wszystkie czasy, jest to, że cała skuteczność i owoc naszej działalności kaznodziejskiej zawisł przedewszystkiem od świętości naszej, od ducha Bożego, który pała w nas, od stopnia życia Bożego, które tętni w nas. Wszak celem kaznodziejstwa jest szerzenie wiary i religijności, szerzenie miłości Boga i bliźniego i wszelkich cnót chrześcijańskich, budzenie i podtrzymywanie w duszach życia nadprzyrodzonego. A czy to będzie umiał kapłan bez ducha Bożego, kapłan obojętny, zeświecczały? Żadną miarą! Lód nie roznieci ognia, materja martwa nie zrodzi komórki żyjącej. *Quod si sal evanuerit, in quo salietur?* — pyta słusznie Zbawiciel. *„Ad nihilum valet ultra, nisi ut mittatur foras, et conculcetur ab hominibus* (Mt. 5, 13).

Większa część świętych, to nie wielcy kaznodzieje i mówcy, to nie publiczni działacze i wielcy uczeni, którzyby nadzwyczajnemi dziełami świat w podziw wprawili i przez to go uświęcili, ale to cisi kaznodzieje przykładu, którzy już tym przykładem swoim, bez słowa kaznodziejskiego, taki wpływ

potężny wywierali i tak skutecznie cele kaznodziejstwa chrześcijańskiego osięgali.

Więc i u nas kapłanów podobnie. Co legitymuje kapłana, jako kapłana i kaznodzieję, jako posła Bożego przed ludem? „Nie wyrażenia piękne i olśniewająca wymowa, nie suknia, choćby to nawet były fiolety prałackie, nie dźwięczne tytuły i godności kościelne, nie uczoność, i zamiłowanie w sztukach pięknych lub tym podobne rzeczy..., lecz cnota i wielkość etyczna... Cud życia świętego, bezinteresownego, ofiarnego, prawdziwie kapłańskiego, jest i będzie najtęższym wobec swoich i obcych argumentem, i najlepszem zaleceniem sprawy i nauki, której kapłan jest przedstawicielem“ (*Huonder „U stóp Mistrza“*, Poznań, 1922², str. 212 i 213).

Niejedna skała uporu, obojętności, uprzedzeń lub pychy w duszy ludzkiej, o którą kruszyły się wszelkie dowody rozumowe i naukowe, skruszyła się sama pod działaniem świętego przykładu. Stąd słusznie woła św. Teresa: „Dajcie nam jednego kaznodzieję o wielkiej cnocie, a więcej on zdziała, niż stu innych bez cnoty“.

Jeżeli tedy zapytamy: „Co jest pierwszą regułą i zasadą wymowy świętej?“ — odpowiedź brzmi: „Kaznodzieja winien żyć nauką, którą głosi, winien być świątobliwym“.

Jeżeli zapytamy: „Co jest pierwszym warunkiem skuteczności kazań i działalności kaznodziejskiej? — odpowiedź brzmi: „Świątobliwość“.

Jeżeli zapytamy: „Co jest najważniejszym przymiotem kaznodziei katolickiego?“ — odpowiedź brzmi: „Świątobliwość“.

Ważne są bezwątpienia i inne przymioty kaznodziei, jak gruntowna znajomość teologji, znajomość serca ludzkiego, doświadczenie życiowe, wrodzony talent mówcy, znajomość zasad wymowy i t. p., ale najważniejszą zaletą i warunkiem jest świętość życia, jest wyrobienie ascetyczne.

Albowiem słowo bez przykładu mało zdziała; przykład bez słowa więcej zdziała; ale przykład wraz z słowem najwięcej zdziała. *„Qui fecerit et docuerit, hic magnus vocabitur in regno coelorum“* — powiada Boski i najwyższy Kaznodzieja (Mt. 5, 19).

3. Dalszą pobudką do uświęcania siebie i wytrwałej pracy nad sobą w tym kierunku jest wzgląd na samego siebie, jest nasz własny, najosobistszy interes, abyśmy czasem, innym przepowiadając i prawdy Boże głosząc, sami nie stali się odrzuceni (I. Kor. 9, 27), — abyśmy nie byli, jak drogowskazy,

które innym drogę do celu wskazują, a same stoją na miejscu nieporuszone *(św. Augustyn, Sermo 1 in Epiph. Dom.).*

Zresztą któż z nas zniósłby na dłuższy czas ten nad wyraz przykry stan obłudy i dwulicowości, gdyby między słowem a życiem jego był rażący rozdźwięk? Potępiać coś, co sam popełniam, chwalić i zachęcać do czegoś, czego sam nie wykonuję, to jest zadawanie sobie strasznego, nienaturalnego gwałtu, to jest jakoby moralne policzkowanie samego siebie, co człowieka najwięcej przed nim samym upokarza i zawstydza, bo sam musi sobie niejako czynić gorzki zarzut słowami Pana Jezusa: *„Obłudniku, wyrzuć wpierw belkę z oka swego, a potem zabierz się do drzazgi w oku braci swoich (*Mt. 7, 5). Łatwiej jest wszelkie inne czynności kapłańskie i duszpasterskie spełniać z sumieniem obciążonem; łatwiej Sakramentów św. udzielać, łatwiej Mszę św. odprawiać, łatwiej święcić, błogosławić i t. p., aniżeli kazać i nauczać, bo tamte czynności, jakkolwiek publiczne, dlatego że w imieniu Kościoła spełniane, noszą jednak z drugiej strony zarazem jakoby charakter prywatny, cichy, że tak powiem. Najtrudniej natomiast jest, jak się zdaje, głosić kazania i nauki, gdy sumienie jest obarczone, a duch obojętny dla spraw Bożych. Kazanie bowiem wymaga od nas zajęcia stanowiska wobec prawd i przykazań Bożych głośno, publicznie. A wtenczas, chcąc pokryć własną swą pustkę i obojętny czy nawet ujemny swój stosunek do głoszonych prawd, trzeba udawać, trzeba silić się na sztuczny zapał, trzeba siebie samego potępiać. A to bezwątpienia bardzo boli i zawstydza, a przytem wnętrza swego nie zdoła się ukryć. Wtenczas brzmieć musi kaznodziei w sumieniu wciąż wyrzut Boży: *„Peccatori autem dixit Deus: Quare tu enarras iustitias meas, et assumis testamentum meum per os tuum?“* (Ps. 49, 17).

Chcąc więc uniknąć tych udręk i przykrości, i chcąc zamiast tortur, mieć radość w kazaniu, trzeba być nietylko głosicielem, ale i czynicielem słowa Bożego.

Oto trzy pobudki, nie jedyne, ale bardzo silne, do uświęcania i urabiania swej duszy na wzór Boskiego kaznodziei, Chrystusa. Przejdźmy do cech, które znamionować powinny ducha prawdziwie kapłańskiego i ascetycznego.

II.

(Cechy).

1. Pierwszą z nich, to głęboka, niezłomna wiara, to silne, niezachwiane przekonanie o Boskiej nieomylności i wiekuisto-

ści prawd przez nas głoszonych. Wiara silna i radosna we wszystkie dogmaty Kościoła św. jest przedewszystkiem dla nas samych podwaliną konieczną dla całej dalszej budowy życia nadprzyrodzonego w duszy naszej, której to budowy plan podają inne gałęzie teologji, a zwłaszcza ascetyka i mistyka. *„Fides sanctitatis caput, devotionis principium“* — powiada słusznie św. Jan Chryzostom *(Sermo de fide).*

Ale i w kaznodziejstwie jest wiara niezbędnym warunkiem dobrego skutku słów naszych. Toć wiara nie jest niczem innem, jak silnem przekonaniem i gorącem ukochaniem prawd Bożych. A wiadomo z życia i codziennego doświadczenia, co znaczy siła przekonania i oddania się duszą całą pewnym ideałom. Człowiek przekonań i zasad, człowiek-entuzjasta ideałów, człowiek wiary w ideały — choćby to były błędne ogniki i doktrynerskie mrzonki — taki człowiek znajdzie zawsze tyle i tak silnych argumentów, znajdzie słowa tak wymowne i płomienne, że zasugestjonuje masy i narzuci im swe przekonania. Tak, tylko żywiołowa siła wiary i przekonania sugestjonuje i porywa masy, budzi i narzuca wprost swe przekonania słuchaczom. *„Pectus est, quod facit disertum“.*

Tą drogą apostołowie fałszu i przewrotu tyle spustoszenia dziś czynią w życiu publicznem i prywatnem, i tyle wyłomów czynią nawet w niezdobytej twierdzy Kościoła św., bałamucąc wiele dusz. Oni, apostołowie fałszu i przewrotu, znajdują tyle wiary i zapału i poświęcenia dla swoich ludzkich mrzonek i błędnych nauk. A my, apostołowie prawdy Bożej i ładu i królestwa Bożego, nie mielibyśmy znaleźć podobnej wiary, zapału i poświęcenia, gdy chodzi o sprawę Boga, gdy chodzi o nieomylną ewangelję Chrystusową? Kto tedy chce być dobrym kaznodzieją, musi pamiętać, że triumf wymowy świętej, owo *„flectere“* i *„movere“* zawisł głównie od siły przekonania i ducha wiary, jakim przeniknięty jest mówca w stosunku do prawd objawionych. *„A to jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza“* (I. Jan 5, 4).

2. Z wiarą łączy się nierozerwalnie miłość, miłość Boga i miłość dusz. Jako w duszy naszej dwie są główne władze przyrodzone, rozum i wola, tak też w niej są i dwie władze nadprzyrodzone, na wspomnianych przyrodzonych, jakoby na swym fundamencie oparte, wiara i miłość. Miłość z wiary wyrasta, jakoby z korzenia, a jako kwiat wspanialszy jest od korzenia, tak i miłość wspanialsza jest od wiary, albo powiedzmy lepiej: miłość to rozkwitująca, czynna wiara, bo

„sprawiedliwy mój z wiary żyje", — powiada Apostoł. Im więcej kaznodzieja przez wiarę Boga pozna, tem większą Go też miłością ukocha, i tem większą zapała gorliwością o Jego chwałę i dusz zbawienie. A jeżeli tą miłością wielką, gorącą, ofiarną dusza jego będzie przepełniona, wtenczas z pewnością cudów dokona: cudów nawróceń, cudów nowej gorliwości i odrodzenia dusz. Wtenczas najpewniej i najprędzej trafi do serc ludzkich i do umysłów ludzkich, bo miłość jest kluczem do serc, jest najgłębszą tajemnicą wszelkiej wymowy. „Czy powiewa, jakoby wietrzykiem wiosennym, łagodnem i serdecznem słowem, czy grzmi jakoby gromami, swemi wstrząsającemi prawdami, — zawsze jest to ta sama miłość, i jako miłość też bywa przez słuchaczy wyczuwana. Miłość mówi wszystkiemi językami: życzliwości, zapału, prośby, łez, upomnienia, groźby, wedle tego, jak potrzeba, — ale najchętniej tym językiem, którym przemawiał jej Boski Mistrz, to jest: „słowami łaski", bo wie, że ludzkie serce żadnego innego języka lepiej nie rozumie, i że ta mowa wszystkie inne często zastąpi, ale żadna inna jej nie zastąpi... Dlatego od czasów Ojców Kościoła za najwyższe prawo wymowy chrześcijańskiej uchodziło hasło: *„Ama et dic, quod vis"*. (*Schleiniger „Die Bildung des jungen Predigers"* 1908, str. 175 i 176). „Miłość, która Boga tylko szuka i wszystko do Boga chce zaprowadzić, jest właściwą duszą wymowy". (*Meyenberg „Homil. u. katech. Studien"* 1910, str. 45). Bez tej miłości nawet wszelka zdolność i talent krasomówczy nie wiele pomogą, bo *„chociażbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzęcząca i jako cymbał brzmiący"* (I. Kor. 13, 1).

3. Na trzeciem miejscu między cechami ducha apostolskiego trzeba położyć czystość i pokorę — cnoty przeciwne dwom wielkim namiętnościom ogólno-ludzkim: pożądliwości ciała i pysze żywota. Która jest niebezpieczniejsza i szkodliwsza, trudno orzekać.

Co do pierwszej, t. j. pożądliwości ciała, można powiedzieć, że ona jest tak w świeckich, jak i u duchownych, jeżeli człowieka zupełnie ogarnie, nietylko ruiną całego życia nadprzyrodzonego, ale i ruiną całego idealizmu naturalnego; jest wywróceniem porządku naturalnego, bo panowaniem ciała nad duchem. U kapłana zaś i kaznodziei jest ona zupełnem wyjałowieniem wewnętrznem i doprowadzeniem do zupełnej martwoty duchowej, a wskutek tego i sparaliżowaniem wszelkiej działalności kaznodziejskiej; jest nieraz przyczyną niedowiarstwa

i apostazji wewnętrznej, a czasem nawet i zewnętrznej, publicznej. Uchowaj nas, Boże, od wejścia na tę niebezpieczną drogę, bo inaczej zbliżamy się do zagłady wszelkiej kaznodziejskiej pracy naszej. Trudno powiedzieć, która namiętność w dziejach Kościoła więcej zrodziła odstępców i herezjarchów pośród kapłanów, nieczystość czy pycha. Zdaje się, że często obydwie razem przy tych wielkich upadkach działały, bo one najwięcej człowieka zaślepiają i do nieugiętego uporu pobudzają. Nieczystości i pysze też zapewne mamy głównie do zawdzięczenia te smutne a głośne i gorszące odstępstwa niektórych naszych polskich kapłanów — doby obecnej.

Nieszczęsna pycha, o której powiedziano, że jest nieczystością duszy, i że jest grzechem specjalnie kapłańskim, zagraża przedewszystkiem zdolnym kapłanom, a bodaj najwięcej przy wykonywaniu urzędu kaznodziejskiego. Tam bowiem jest najwięcej pola do popisu, i to publicznie, przed licznemi rzeszami słuchaczy. Jak wielkie wtenczas jest niebezpieczeństwo, żeby przy głoszeniu kazań szukać chwały swojej, zamiast chwały Bożej; żeby już przy obmyślaniu i przygotowywaniu kazań tak wszystko dobierać i układać we formie i w treści, aby wykazać swą wiedzę i mądrość, swe oczytanie, swe zdolności, swój styl i t. p., ażeby zabłysnąć, zdobyć poklask i podziw u wykształconych. Jakie to istotnie niebezpieczne i kuszące, i jak do każdego się zbliża, a zwłaszcza do zdolnych, — a jednak jakie to niskie i niegodne. Szukać swej chwały i popisywać się w przemowach i wykładach świeckich, w artykułach lub dziełach naukowych świeckich, to można łatwiej wybaczyć. Ale szukać swej chwały w kazaniach, które wyłącznie przeznaczone są dla głoszenia chwały Bożej, to jest zaprawdę świętokradczem nadużyciem, które słusznie *adulteratio verbi divini* nazwaćby można. Takiemu kaznodziei Bóg błogosławić nie będzie.

Ile zaś spustoszenia czyni pycha w życiu wewnętrznem, duchowem wogóle, o tem wiemy dobrze bądź z dziejów własnej duszy lub dusz innych, bądź z czytania dzieł ascetycznych. Że mianowicie tam, gdzie nie sięgają już żadne inne namiętności, gdzie panują już tylko cnoty, że nawet tam wciska się często pycha, i podgryza pobożność samą u korzenia — bo że nawet sama umie obłudnie nałożyć maskę pokory.

Tej więc niebezpiecznej i przebiegłej namiętności kaznodzieja z całej siły ustrzec się powinien, pamiętając, że pycha odpycha — i Boga i ludzi.

4. Przeciwstawieniem pychy jest pokora, a jednem z najwięcej błogosławionych ćwiczeń pokory jest modlitwa. Modlitwa jest nieodzownym przejawem życia wewnętrznego, a więc i cechą istotną ducha prawdziwie kapłańskiego i ascetycznego.

Cała działalność kaznodziejska — rzec można — stoi pod znakiem nadprzyrodzoności. Stąd kaznodzieja musi być mężem modlitwy, aby źródło łaski Bożej, do której kluczem jest modlitwa, stało mu zawsze otworem.

Dobry kaznodzieja musi mieć ducha modlitwy. A więc nietylko czasami oficjalnie i mechanicznie, a może nawet niechętnie, byle się pozbyć, odmówić winien pewne modlitwy kościelne, ale powinien modlitwę kochać, do niej chętnie się garnąć, w niej znajdować swą radość, na niej dłuższe chwile spędzać, bo dopiero taka modlitwa będzie go przemieniała, będzie weń wlewała moc Bożą i namaszczenie święte, będzie go uświęcała i zapalała. Dopiero taka modlitwa, w cichych godzinach samotności przed tabernakulum lub w rannej medytacji odbywana, odsłania przed wzrokiem duszy głębie tajemnic Bożych, pozwala ogarnąć cudny organizm Objawienia Bożego, pozwala wniknąć w tajniki życia duchowego, w tajniki dróg i zamiarów Opatrzności Bożej.

Modlitwa taka, to niezbędny regulator i motor życia jak najwszechstronniej harmonijnego, tak naturalnego, jak i nadprzyrodzonego.

Taka modlitwa i medytacja jest też zarazem dalszem przygotowaniem do kazań, i to najlepszem, bo dającem takie bogactwo myśli, pobudek, dowodów, przykładów z życia i t. d., że niema wtedy trudności z wyszukiwaniem tematów, że jest ich więcej pod dostatkiem, niż potrzeba, że jedne na drugie czekają, a co jeden to lepszy, piękniejszy, praktyczniejszy, tak, iż nie będzie już prawie wcale potrzeby uciekać się do kazań drukowanych, tak nieraz banalnych i bladych, tak teoretycznych i bez związku z życiem i z miejscowemi potrzebami.

Pozatem jednak koniecznem jest, aby każde kazanie zrosić rosą modlitwy, i to już kilka dni naprzód, aby Bóg poddawał nam najskuteczniejsze i najświętsze myśli przy obmyślaniu i przygotowywaniu kazania, aby błogosławił nam przy jego wygłaszaniu, aby przygotował swą łaską serca słuchaczy, a nas ustrzegł od szukania własnej chwały w kazaniu, utrzymywał zaś w bezustannej, pokornej pamięci, że wszelki nadprzyrodzony skutek kazania zawisł od Boga, bo *„neque qui*

plantat est aliquid, neque qui rigat, sed qui incrementum dat, Deus" (I. Kor. 3, 7).

I dlatego słusznie powiada św. Augustyn o kaznodziei: *„Sit orator, antequam dictor" (De doctr. christ.* l. 4, c. 15).

Tak czynił Boski nasz Zbawiciel. Przed rozpoczęciem urzędu nauczycielskiego 40 dni spędza na pustyni na poście i modlitwie, a i później jakże często usuwał się tak we dnie, jak i w nocy sam jeden na górę lub inne odosobnione miejsca i trwał na modlitwie. Oto przykład i wzór dla wszystkich kaznodziejów.

III.

(Środki).

Modlitwa jest nietylko cechą, nietylko objawem i dowodem ducha prawdziwie kapłańskiego i ascetycznego, ale zarazem i środkiem do rozbudzenia tego ducha, gdy zaniknął, jak i do podtrzymywania go i pomnażania tam, gdzie pozostał.

Ale jaka modlitwa? — możnaby znów zapytać. Co wogóle postawić jako minimum praktyk i ćwiczeń ascetycznych, aby tego ducha kapłańskiego zachować, aby nie kroczyć prostą drogą ku powolnemu zeświecczeniu i wyjałowieniu, a więc ku zupełnemu zatraceniu tego ducha?

Niedobrze stawiać wymagania zbyt wielkie, bo to czasem zniechęca, a często jest niewykonalne. Niedobrze też stawiać wymagania zbyt małe, bo te do podtrzymania ducha kapłańskiego nie wystarczą. Wiemy, jakie praktyki musieliśmy spełniać obowiązkowo w seminarjum duchownem, i że dobrze nam z tem było, i był zapał i gorliwość pałająca. Wiemy też, co naogół wymagają pisarze ascetyczni i mistrze życia duchownego pod tym względem. Na to jednak powiada wielu kapłanów: „To jest dobre bezwątpienia, ale możliwe tylko w seminarjum albo w klasztorze. Na parafji niema na to czasu, w życiu duszpasterskiem jest to niewykonalne".

Znane jest zapewne wszystkim arcybractwo kapłanów świeckich pod nazwą *„Unio Apostolica"*, i wymagania co do ćwiczeń duchownych tego stowarzyszenia. Do najważniejszych zaliczają się następujące ćwiczenia codzienne: medytacja pół godziny, studjum teologiczne pół godziny, czytanie duchowne kwadrans, różaniec, nawiedzenie Najśw. Sakr., rachunek sumienia szczegółowy i ogólny, matutinum i laudes przed mszą św., spowiedź św. przynajmniej dwa razy na miesiąc, czytanie Pisma św. jeden rozdział.

Jednakże i co do tych wymagań wielu księży słyszy się mówiących, że przy nawale prac i zajęć, jakie obarczają kapłana zwłaszcza po wielkich miastach i po wielkich parafjach, niepodobna jest wszystkich warunków Unji spełnić.

1) Jako *minimum* obowiązujące nas z woli Kościoła św. pod grzechem śmiertelnym stoi na czele codzienne odmawianie brewjarza. Odmawianie odbywane oczywiście *„digne, attente ac devote“*, bo czysto mechaniczne i bezmyślne, a wyścigowo szybkie zbywanie tej modlitwy nie może wywrzeć głębszego wpływu na odnawianie ducha kapłańskiego. Ktoby jednak chciał się zadowolić tem *minimum sub gravi* obowiązującem, a systematycznie lekceważyłby wszelkie inne ćwiczenia duchowne, mniemając, że już to jedno wystarczy do kapłańskiej gorliwości i doskonałości, ten czyniłby podobnie, jak człowiek świecki, który zadowala się jednorazowem przystąpieniem do Sakramentów św. w ciągu roku, ponieważ to obowiązuje pod grzechem ciężkim, i mniema, że już spełnił obowiązek katolika.

2) To *minimum* kapłańskich ćwiczeń duchownych poza brewjarzem, a więc nie obowiązujących coprawda *sub gravi*, ale jednak usilnie jako *„obligationes clericorum“* zaraz na pierwszem miejscu zaleconych, podaje Kościół św. w najnowszem prawie kościelnem w kanonach 124 i 125.

W pierwszym z nich mówi ogólnie: *„Clerici debent sanctiorem prae laicis vitam interiorem et exteriorem ducere eisque virtute et recte factis in exemplum excellere“*.

W drugim zaś podaje środki tego „życia świętszego“, i mówi tak: *„Curent locorum Ordinarii:*

1-o. *Ut clerici omnes poenitentiae sacramento frequenter conscientiae maculas eluant;*

2-o. *Ut iidem quotidie orationi mentali per aliquod tempus incumbant, sanctissimum Sacramentum visitent, Deiparam Virginem mariano rosario colant, conscientiam suam discutiant“*.

Biskupi więc mają mieć staranie i pieczę nad tem, aby wszyscy kapłani te ćwiczenia odbywali — *„curent locorum Ordinarii“*.

a) Z pośród ćwiczeń wyliczona jest na pierwszem miejscu „częsta“ spowiedź św. Jak częsta, kanon nie mówi. Liczni pisarze duchowni mówią o tygodniowej spowiedzi św., jako potrzebnej u tych, którzy codziennie lub często komunikują. *„Unio Apostolica“* przepisuje, aby przynajmniej raz na dwa tygodnie do spowiedzi przystępować. Stolica św. niejednokrotnie przywiązała do takiej właśnie tygodniowej lub dwutygo-

dniowej spowiedzi św. różne przywileje, jak np. i w nowym kodeksie (kanon 931, § 3), że wierni, którzy mają zwyczaj *„saltem bis in mense“* się spowiadać, mogą wszelkich odpustów dostąpić. Z tego widać, że Kościół właśnie taką spowiedź pochwala i uważa ją za częstą. Oczywiście, że ktoby przy pomocy łaski Bożej całe tygodnie lub nawet całe miesiące grzechu ciężkiego nie popełnił, ten *per se* mógłby całe tygodnie lub nawet miesiące bez spowiedzi celebrować, ale raz nie odpowiadałoby to życzeniu Kościoła św., a powtóre bardzo wątpliwe jest, czy wtenczas możnaby się utrzymać w prawdziwej gorliwości.

b) Na drugiem miejscu wylicza kanon 125 — cztery ćwiczenia, zalecone codziennie do spełniania, mianowicie: rozmyślanie, nawiedzenie N. Sakr., odmówienie różańca i rachunek sumienia.

Z tych czterech jako pierwsze wyliczone jest rozmyślanie, modlitwa myślna *(oratio mentalis)*, a więc snać najważniejsza. Nie jest koniecznie przepisana pewna forma rozmyślania; a więc poniekąd obojętne jest, czy medytacja będzie się odbywała na podstawie przeczytanego ustępu Pisma św., czy na podstawie jakiejś książki ascetycznej, duchowej; czy książki specjalnie do rozmyślań napisanej i w schematyczne rozmyślania i punkty ujętej; czy na podstawie własnej modlitwy i świętych myśli, — byleby codziennie była dłuższa chwila skupienia, na takie rozważanie przeznaczona. Dla kapłanów obarczonych licznemi zajęciami, możnaby polecić niewielki, a bogaty zbiór bardzo dobrych, krótkich rozmyślań jezuity Huondera p. t. „U stóp Mistrza“ (wyszło w księg. św. Wojciecha w Pozn.). Pozatem na polecenie zasługują: „Rozmyślania o życiu kapłańskiem, czyli ascetyka kapłańska“ ks. biskupa Pelczara (2 tomy), „Rozmyślania o Ewangelji“ ks. biskupa Prohaszki (2 tomy), „Rozmyślania dla kapłanów“ ks. Chaignona (6 tomów), *„Meditationes“* P. Ludovici de Ponte (6 tomów).

Obok modlitwy myślnej zalecone jest codzienne nawiedzenie N. Sakr., krótki rachunek sumienia, i o ile możności cząstka różańca.

Jeżeli tych kilku ćwiczeń duchownych, przez Kościół św. oficjalnie poleconych, każdy kaznodzieja i kapłan gorliwie trzymać się będzie, a w dniach wolniejszych od zajęć koniecznych duszpasterskich, jeszcze inne dodawać będzie, wtenczas z pewnością ducha kapłańskiego i gorliwości apostolskiej nie zatraci.

Przedewszystkiem musimy wszyscy gorąco pragnąć swego uświęcenia, bo jak może mi uświęcenie wiernych leżeć na sercu, jeżeli moje własne jest mi obojętne? Wtenczas też, chociaż wyjątkowo czasem minie parę dni tak pracą zewnętrzną zajętych i przeładowanych, że nie będę miał istotnie czasu odbyć wszystkich ćwiczeń wspomnianych, czy nawet żadnego z nich, znowu jednak, jak tylko ten nawał minie, znajdę choćby gwałtem czas, by wrócić do tych zbawczych źródeł swego uświęcenia, — pamiętając na to, co powiedział św. Franciszek Salezy, że u kapłana więcej waży jedna uncja świętości, aniżeli cały centnar słów.

Aby nas tedy nie spotkał podobny zarzut Zbawiciela, jak spotkał Martę ewangeliczną: kapłanie, kapłanie, troszczysz się i zabiegasz około bardzo wiela, ale jednego potrzeba, — łączmy umiejętnie i roztropnie pracę zewnętrzną z pracą wewnętrzną nad sobą samymi.

A jeżeli co do kapłanów ascetów-samotników, których pomiędzy nami w Polsce niema naogół wiele, podnieść trzeba hasło: „Wyjść z poza czterech ścian swego pokoju i swego kościoła i połączyć święte samotnictwo z apostolskiem społecznictwem, i pójść chociażby do publicznych gorszycieli i wrogów Kościoła, do domu zaciekłego socjalisty czy agitatora lewicowego, w myśl postępowania i zasady Chrystusa, że „nie zdrowi potrzebują lekarza, lecz chorzy“ (Łk. 5, 29), — to co do kapłanów wszystkich innych, zwłaszcza zbyt pochłanianych i rozpraszanych pracą nazewnątrz, trzeba podnieść jeszcze głośniejsze hasło: Cofać się gwałtem jak najczęściej do samotności, i łączyć dobrze pojęte duszpasterstwo i społecznictwo z bogomyślnem samotnictwem, i pielęgnować i uświęcać swą duszę jak najgorliwiej.

Na tem i kaznodziejstwo nasze zyska najwięcej.

Poznań. *Ks. dr. Kiciński.*

O DUCHU I PRZYSZŁOŚCI LITURGJI KATOLICKIEJ.

Uwagi wstępne. — Autorem niniejszego artykułu jest *Dom Germain Morin O. S. B.*, wielkiej miary patrolog i liturgik. Urodzony 6 listopada 1861 r. w Caen w Bretanji, należał on początkowo do wielkiego opactwa Benedyktynów w Maredsous w Belgji. Jako uczony wsławił się nader szczęśliwemi odkryciami nieznanych pism św. Hieronima i Augustyna. Jest on też założycielem słynnych i tak bardzo zasłużonych *„Anecdota Maredsolana“* i głównym współpracownikiem nie mniej zasłużonej *„Revue Bénédictine“*. Z pośród jego dzieł wymienię tylko *„Origines du chant Grégorien“* i rozkoszną książeczkę, p. t. *„L'idéal monastique et la vie chrétienne des premiers jours“ (Collection „Pax“. Paris 1927)*. Obecnie Dom Morin pracuje nad oddzieleniem autentycznych kazań św. Augustyna od nieautentycznych i nad krytycznem wydaniem autentycznych. Jest to przytem pierwszorzędny znawca międzynarodowych księgozbiorów; stąd warsztat jego pracy znajduje się to w Medjolanie, to w Oxfordzie, to znowu w Monachjum, albo w jakiej innej bibljotece europejskiej. Jako pewnego rodzaju *curiosum* zaznaczam, że Dom Morin jest doktorem honorowym protestanckiego wydziału teologicznego w Zurychu.

Nie dziw przeto, że kiedy w monachijskim miesięczniku katolickim *„Hochland“* ukazała się pod powyższym tytułem jego rozprawa w niemieckim przekładzie D-ra Fr. Fuchsa, uważałem, że będzie to niecodzienne wypowiedzenie się o „ruchu liturgicznym“, który obecnie w takiem naprężeniu trzyma niejeden umysł. W rzeczy samej artykuł Dom Morin'a zasługuje na szczególną uwagę, choćby się kto i nie godził na wszystkie jego zdania. Poprosiwszy tedy redakcję *„Hochland“* o pozwolenie „przedruku“ tego artykułu w któremś z polskich czasopism, uzyskałem nietylko pozwolenie, ale nawet — dzięki uprzejmości Autora i p. d-ra Fuchsa, za którą serdecznie dziękuję — oryginalny francuski rękopis artykułu Dom Morin'a, i niniejszem podaję go we własnym przekładzie polskim, czyniąc we właściwych miejscach nieodzowne uwagi. *Ks. Jan Korzonkiewicz.*

Liturgja katolicka w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu obejmuje wszystkie akty publicznej czci Bożej, przez które Kościół jako pośrednik między niebem a ziemią spełnia swoje posłannictwo kapłańskie: więc najpierw i głównie Ofiarę eucharystyczną, czyli liturgję właściwą, następnie pacierze kapłańskie, czyli ofiarę pochwalną, wkońcu szafowanie Sakramentów i wszystkie inne czynności, których celem jest uświęcanie wiernych.

Żeby mieć należyte pojęcie o duchu tej liturgji, t. j. o tem, co ona oznacza, jaka jest jej doniosłość [1]), i co stanowi jej

1) Artykuł Dom Morin'a z *„Hochland“* przedrukował też natychmiast ks. dr. Weinmann, dyrektor znanej szkoły muzycznej w Regensburgu, w poważnem czasopiśmie *„Musica Sacra“*, opuścił jednak właśnie tę pierwszą jego część, którą ja uważam za cenniejszą nawet od drugiej. Kiedy bowiem

duszę, jeden tylko jest sposób: oto trzeba się starać wniknąć w istotę samego Kościoła; po wszystkie bowiem czasy najwybitniejszem znamieniem liturgji było to, że odznaczała się ona jasną dokładnością i szczerością, a treść zgadzała się w niej doskonale z formą; podług słynnej formuły owego dokumentu, którego twórcą w Rzymie za papieża Xystusa III był późniejszy papież Leon, liturgja katolicka jest doskonałym wyrazem tego, co stanowi część depozytu wiary Kościoła: *ut legem credendi lex statuat supplicandi.* Przez to samo liturgja katolicka odcina się od liturgij innych społeczności chrześcijańskich. Wszak liturgje niekatolickich wyznań chrześcijańskich z reguły są co najwyżej ułamkami tej liturgji, która była w użyciu przed założeniem różnych sekt; liturgiczne obrzędy i teksty, które później dodano, co do inspiracji prawie zawsze są tylko wspólną wszystkim stuleciom własnością duchową całego chrześcijaństwa, albo przynajmniej mogłyby za taką uchodzić. Rzadko kiedy w tych pokatolickich dodatkach do liturgji wyrażają się jasno wierzenia, sprzeczne z wiarą Kościoła katolickiego; z reguły uskuteczniano zmiany i skreślano to i owo; niewątpliwie twórcy tych pokatolickich liturgij owym zmianom i skreśleniom z początku przypisywali bezsprzeczną doniosłość dogmatyczną, była to jednak doniosłość natury raczej negatywnej. Zamiast przy pomocy właściwych tekstów liturgicznych odrzucać ten lub ów artykuł wiary, poprzestawano na usunięciu takich tekstów, czynności i zewnętrznych symbolów, które były wyrazem danego artykułu wiary. Z tego wyszło coś, co naogół mogą przyjąć chrześcijanie wszelkich odcieni. Tak n. p. w kościele anglikańskim można zauważyć, że mimo, iż niektóre sfery w pojmowaniu Eucharystji i innych Sakramentów różnią się pomiędzy sobą tak dalece, jak *Cowley Fathers* różnią się od najskrajniejszej lewicy *Low Church*, przecież oficjalna służba Boża według *Book of Common Prayer* odbywa się tam wszędzie jednakowo. A gdzie władza kościelna ze względów roztropności nie wydała zakazu, tam nawet katolicy na nabo-

w tej drugiej uczony schodzi na teren praktycznych wniosków, co do których — jak to zwykle bywa — zdania będą podzielone, w tej pierwszej części Dom Morin mówi o znaczeniu liturgji zasadniczem i „wychowawczem", a to jest ważniejsze od projektów reformy. Nie dla tych też projektów — o których niżej — uprzystępniłem wywody uczonego Benedyktyna P. T. Czytelnikom, lecz dla pozytywnych walorów pierwszej części jego artykułu.

Tłumacz.

żeństwach niekatolickich wyznań, na którychby się znaleźli jako zwyczajni widzowie, będą się mogli zbudować[1]).

Całkiem inaczej będzie się dziać z protestantem, któryby chciał być na nabożeństwie katolickiem; co chwila zobaczy on i usłyszy coś takiego, co jest przeciwne jego przekonaniom. Oto bowiem przed oczyma jego rozwija się i działa cała hierarchja sług Bożych, począwszy od zwykłego ministranta aż do kapłana i biskupa, a każdy z nich zajmuje swoje „miejsce" i wykonywa czynności, dokładnie określone w obrzędzie święceń, które otrzymał; wszędzie też, aż po krańce świata, przy ołtarzu Pańskim będzie czyniona pamięć *„Domini Papae, qui in Sede Apostolica primatum tenet*[2]). Wobec takiego widowiska i wobec takich afirmacyj co się będzie dziać w duszy człowieka, należącego do wyznania, które może wogóle nie uznaje żadnego kapłaństwa w znaczeniu osobnego urzędu, a w każdym razie głosi, że biskup rzymski, domagający się władzy nad całym światem, jest wcieleniem bezprawnych uroszczeń? Nie inaczej ma się rzecz z ofiarą Mszy św., ze czcią Matki Boskiej i Świętych, z czyścem, z władzą udzielania odpustów i tylu innemi prawdami wiary, które głosi jeszcze tylko Kościół katolicki, względnie bezmała tylko Kościół katolicki. Takim sposobem w liturgji katolickiej wypowiada się Kościół katolicki doskonale o swej istocie i o swej wierze; liturgje zaś innych wyznań różnią się od niej tylko tem, co z niej skreśliły.

---

1) Autor odnosi się z pewną sympatją do nabożeństw w kościołach anglikańskich, które może naprawdę tchną powagą i nastrojem budującym. Czy to samo da się powiedzieć o protestanckich „gottesdienstach" w innych krajach, trudno powiedzieć. Sprawa prawdopodobnie ma się tak, że w Anglji żyje jeszcze dużo liturgicznej tradycji katolickiej, kiedy gdzieindziej pozrywano znacznie radykalniej z tem wszystkiem, co mogło przypominać katolicką przeszłość, żeby się jak najbardziej odciąć od katolickiego otoczenia, które w Anglji nie dawało się tak we znaki, bo mniejszość katolicka do niedawna była tam znikoma. *Tłumacz.*

2) Francuski rękopis Dom Morin'a na tem miejscu zawiera na marginesie uwagę ołówkiem „Arnobe. A. 1142", co oznaczać ma, że tekst zacytowany przezemnie po łacinie, wzięty jest z dzieł Arnobjusza (Młodszego) (Patrz Bardenhewer, Gesch. d. altkirchl. Literatur IV 1·2 (1924) 603-606), do którego właśnie Morin dostarczył wielu materjałów naukowych. Sam cytat u Morina brzmi tak: *„Du seigneur pape qui préside au siège apostolique"*. Zamiast słowa te tłumaczyć na polski język, przetłumaczyłem je „wstecz" na łacinę. Czy trafnie, powiedzieć nie umiem, bo kto wie, czy w całym Krakowie znalazłbym łatwo oryginalny tekst łaciński Arnobjusza.

Tłumacz.

Znamię to liturgji katolickiej sprawia, że zwłaszcza w świecie angielskim odnoszą się do niej ze czcią i sympatją za to, że jest taka otwarta i zupełnie szczera.

* * *

Drugie znamię liturgji katolickiej na tem polega, że choć co do swej istoty nie zmienia się ona nigdy, przecież stale podlega zmianom, zależnie od potrzeb i słusznych dążeń różnych okresów do nich się stosując i odbywając odpowiednią ewolucję. Pod tym względem liturgja katolicka jest odzwierciedleniem pewnej strony istotnej w życiu Kościoła, która na tem polega, że Kościół ustawicznie odnawia się, chociaż co do istoty zawsze jest tem, czem był na początku: nie uroni on najmniejszej cząsteczki pierwotnego depozytu wiary, ale też nie usuwa się, gdy idzie o naświetlenie i rozwinięcie pewnych stron prawdy objawionej, które się nie przedstawiały odrazu dość jasno i przejrzyście. Tem się tłumaczy z jednej strony niemal przesadnie konserwatywny charakter liturgji katolickiej, z którego się jej tu i ówdzie czyni zarzuty, z drugiej strony zaś zadziwiająca łatwość, z którą liturgja ta daje miejsce nowym świętom i obrzędom, które dawniej nie miały zgoła racji bytu, tudzież nabożeństwom, o których w dawnych wiekach wogóle nikt nie myślał, w których jednak objawiło się działanie Ducha Świętego, co rządzi ciałem Kościoła jako całością i uświęca je.

Nietylko pozostał nietknięty, lecz jest zazdrośnie strzeżony w swej nieskazitelności kanon Mszy wraz z całem dziedzictwem czcigodnych tekstów, przekazanych przez pierwsze wieki; nietylko niemożliwem byłoby wskazać choćby jedno okaleczenie liturgji, któreby zdradzało porzucenie jakiegoś artykułu wiary dawniej przyjmowanego, — lecz przeciwnie: w księgach naszych liturgicznych znajdzie się niejedno, co widocznie już straciło wszelką rację bytu, znajdzie się niejeden obrzęd, który już dawno wyszedł z użytku, jak pojednanie pokutników, namaszczenie na cesarza, pasowanie na rycerza i t. p. Z drugiej strony spotykamy tam cały szereg świąt, zaprowadzonych dopiero z biegiem wieków, jak WW. Świętych, Trójcy Św., Boże Ciało, Niepokalane Poczęcie, nie mówiąc o wielkiej liczbie nowych Świętych, którzy dopiero za naszych dni zjawili się, żeby wypełnić szpalty kalendarza. Także pod tym względem nasza liturgja różni się od wszystkich innych. Te inne albo skostniały w swej nieruchomości, jak n. p. liturgja schizma-

tycka [1]), albo też jeżeli z biegiem czasów doznały jakiej zmiany, to zmiana ta z reguły polegać będzie jedynie na nowych skreśleniach, na zarzuceniu tego lub owego obrzędu, tej lub owej czcigodnej formuły, której zarzucenia domagała się publiczna opinja danej chwili; nigdy zaś albo rzadko kiedy zmiana taka równa się rzeczywistemu wzbogaceniu liturgji, któreby świadczyło, że tam jest życie i postęp.

Trzecią cechą charakterystyczną liturgji katolickiej, którą ona się też odróżnia od innych liturgij, jest zewnętrzna uroczystość, okazałość i wystawność, którą liturgja nasza lubi się otaczać. Używanie świec i kadzidła honorowe miejsce, które zajmują w niej krzyż, relikwje i obrazy, wielka liczba personelu liturgicznego, ich gesty hieratyczne i skomplikowane ruchy, bogactwo i starożytny kształt ich ubioru, daleko sięgający udział muzyki i śpiewu; wszystko to jest w przeciwieństwie do systematycznej i świadomie zamierzonej prostoty większości sekt chrześcijańskich, które nastały od 16 wieku począwszy; wszystko to też stanowi jeden z głównych punktów oskarżenia, a może nawet główny punkt oskarżenia, które się zazwyczaj podnosi przeciwko liturgji katolickiej.

Oskarżenie to nie jest nowe. Już w 4 wieku, kiedy Kościół po triumfie nad prześladowcami i nad wielką herezją arjańską przystępował do rozbudowy swej służby Bożej w sposób taki, któryby odpowiadał zarówno wielkości majestatu Bożego jako też życzeniom ludu chrześcijańskiego, nie zabrakło krytyków, którzy sarkali na różne inowacje mające podnieść nazewnątrz urok nabożeństwa, i ganili je jako coś co najmniej zbytecznego, jeżeli nie szkodliwego prawdziwej pobożności. Znany przecież jest śmiały atak kapłana Wigilancjusza, i wiadomo, że św. Hieronim skwapliwie skorzystał ze znakomitej sposobności, żeby wylać swój sarkazm, który w takich razach nie znał litości. Inni byli przezorniejsi i ograniczali się do krytyki śpiewu psalmów i hymnów; ci byliby woleli coś surowszego, w czemby brała udział niemal tylko dusza. Ale i ci nie wskórali nic; Bazyli i Ambroży podjęli się obrony inowacyj, które byli sami pozaprowadzali na polu śpiewu ko-

---

[1]) Dom Morin pisze *„l'Église Orthodoxe“*. Uważając atoli, że my powinniśmy zerwać z nomenklaturą „prawosławny, prawosławie“, która jest odpowiednikiem wyrazu *„orthodoxe“*, położyłem świadomie słowo „schizmatycki“, czego mi może nie wezmą za złe katolicy wschodnich obrządków, boć przecie ich liturgja, choć jest podobna do schizmatyckiej, jest katolicka. *Tłumacz.*

ścielnego; Augustyn (mimo zachwycających skrupułów, których doznawał chwilami na tym punkcie) wyznaje, że śpiew psalmów, nawet ozdobny, taki, jaki był wykonywany w Medjolanie, w początkowem stadjum jego nawrócenia, zostawił na nim niezatarte wrażenie; a Nicetas z Remezjany, podeszły w latach biskup misyjny, pisze osobny traktat przeciwko wrogom śpiewu kościelnego, żeby im wykazać, iż zwalczają praktykę, która ma za sobą caly szereg przykładów ze Starego i Nowego Testamentu.

Bezwątpienia w sprawach tych należy przestrzegać pewnej miary, i kto będzie miał na względzie temperamenty lub środowisko, ten obfitość środków, zasadniczo przez liturgję katolicką dopuszczanych, potrafi ocenić w sposób całkiem naturalny w stopniu większym lub mniejszym. Ale to każdy przyzna, że liturgja ta nawet wtedy, gdy rozwija cały swój przepych, naogół przecież jeszcze unika zarówno ubóstwa, które panuje w nabożeństwach większej części kościołów reformacyjnych, jako też przesadnego mistycyzmu ceremonji kościoła schizmatyckiego [1]). To chciał wyrazić wobec mnie pewien Anglikanin, który jednak był bardzo uprzedzony do Rzymu, a nader przychylnie usposobiony dla liturgji rosyjskiej i wschodniej: „Naogół — tak mawiał do mnie — Msza rzymska z pośród wszystkich liturgij jest jeszcze najbardziej umiarkowana, najbardziej harmonijna — najlepiej wypracowana; niema w niej nieznośnej długości i powtarzań Mszy bizantyjskiej; a także w gestach i ruchach okazuje więcej panowania nad sobą. Z drugiej strony zachowała ona nieskończenie więcej skarbów tradycji i potrafiła je udoskonalić znacznie zgrabniej od jakiejkolwiek innej liturgji, które jeszcze są w użyciu na Zachodzie".

Nie należy też zapominać, że zewnętrzny rozwój liturgji katolickiej nie odbywał się ani pod panowaniem teoryj filozoficznych, ani też dogmatycznych rozważań, lecz odpowiadał on koniecznościom, natury przeważnie historycznej i praktycznej. Tak n. p. w Rzymie, gdzie pogaństwo od wieków przyzwyczaiło lud do całego programu, i to programu mimo wszystko robiącego duże wrażenie, a złożonego z uroczystości, pochodów i obrzędów ekspiacyjnych, leżało to poprostu w naturze rzeczy, iż Kościół starał się zastąpić to wszystko czemś równie pięknem i równie wspaniałem, gdyż w przeciwnym razie masy

1) Także tutaj Morin pisze *„l'Église orthodoxe"*. Ob. wyż.

byłyby się od niego odwróciły jako od instytucji słabej i ubogiej [1]).

Kościół wnet zrozumiał tę potrzebę i niemal w tej samej chwili, w której wychylił się z katakumb na światło dzienne, umiał nawróconym niedawno masom ludu pokazać się również w majestacie; Kościół jednak, posługując się zewnętrznym blaskiem, przecież umiał także zachować miarę dobrego smaku, ponieważ był rzymskim.

Stosunki te z biegiem czasu naturalnie uległy zmianie; cesarstwo wkońcu upadło, Europa została zalana hordami barbarzyńców, napływającemi z Germanji i Skandynawji, powstawały nowe narody chrześcijańskie, z których dzisiaj składa się świat cywilizowany; to wszystko Kościół stawiało w obliczu nowych zadań i obowiązków, a przecież Kościół uważał, że swej liturgji nie wolno mu zmieniać. Dlaczego nie? *Ponieważ właśnie ta liturgja dzięki swemu pochodzeniu z Rzymu stanowiła czynnik kulturalny pierwszorzędnej wagi* [2]). Wszak liturgja ta zniewalała — jeżeli się ją chciało wykonać w sposób odpowiedni — do przyswojenia sobie całego mnóstwa wiadomości; kto ją wykonywał i uczestniczył w niej, nie mógł nie zasmakować w poezji i w sztukach pięknych, musiał przyczynić się do rozwoju architektury, rzeźby, malarstwa a zwłaszcza muzyki, która tak skutecznie wpływa na rozwój najdelikatniejszych właściwości dusz ludzkich; wkońcu liturgja ta musiała przyczynić się do wyrobienia subtelności uczuć w stosunku do godności ludu chrześcijańskiego i szacunku, który się należy każdemu według stanowiska, jakie zajmuje w hierarchji religijnej lub społecznej.

Chociaż ostatniemi czasy pisano o tem rozmaicie, przecież nie da się zaprzeczyć, że po większej części jest zasługą tego tajemniczego i dobroczynnego wpływu liturgji, że Kościół w swej pracy misyjnej miał tak wielkie powodzenie, i że owoce tej pracy trwają. Jest szczególnie jeden kraj, w którym fakt ten

---

1) Tę samą potrzebę podniesienia powagi religji katolickiej zapomocą wystawności obchodów liturgicznych, odczuwa się także za dni naszych w niektórych krajach misyjnych, n. p. w Chinach i w Japonji, jak to stwierdził niedawno ks. dr. Engelbert Krebs, profesor uniwersytetu we Fryburgu w Bryzgowji, po powrocie ze swej podróży do Azji Wschodniej; tem się też tłumaczy wpływ, jaki tam wywierać mają śmiałe fundacje klasztorne Benedyktynów z St. Ottilien i z Ameryki.

2) Podkreślenie moje. *Tłum.*

według tego, co wiemy, każdemu bezstronnemu obserwatorowi rzuca się poprostu w oczy. Krajem tym jest Anglja. Nawrócenie Anglji rozpoczęło się z chwilą, gdy czterdziestu mnichów, przybyłych z Rzymu, procesjonalnie wstąpiło na ziemię angielską; na czele tej procesji unosił się krzyż, a procesja posuwała się wśród śpiewu antyfon, których kadencje tak często rozbrzmiewały po ulicach Wiecznego Miasta. Nawrócenie zaś to, tak szczęśliwie rozpoczęte, czyni coraz większe postępy i sięga w głąb duszy narodu w miarę, jak długi wspaniały szereg słynnych mężów za główną sobie to poczytuje troskę, żeby wśród narodu angielskiego krzewić życie liturgiczne w całej jego przeobfitej pełni, więc taki Teodor z Canterbury, Benedykt Biscop, Ceolfrid, Beda, Wilfrid, Dunstan, i rzeka chrześcijańskiej siły życiowej, która wezbrała tym sposobem, potężnieje do tego stopnia, że fale swoje rozlewa ona nawet aż na ląd stały, w postaci takich anglosasów jak Willibrord, Bonifacy, Alkuin, z pomiędzy których ten ostatni będzie prawą ręką Karola Wielkiego tak samo przy urządzeniu liturgji, jak nią był przy wskrzeszeniu oświaty. Z pomiędzy wszystkich narodów, jakie po upadku państwa rzymskiego przyjęły chrześcijaństwo li tylko przy pomocy tych środków, któremi rozporządza Kościół, naród angielski zachował sobie aż do naszych dni wręcz wyjątkowe zdolności; a któż zdoła powiedzieć w jakim stopniu do wyrobienia tych zdolności przyczyniło się właśnie wychowanie tego narodu przy pomocy liturgji, która tam wywierała nader silny wpływ? A czy wychowanie to nie musiało zostawić po sobie niezniszczalnych zasobów siły życiowej, skoro naród ten nawet po odpadnięciu od Rzymu w 16 wieku zachował sobie życie liturgiczne o takiej sile wewnętrznej i takie żywe zainteresowanie się tem wszystkiem, co dotyczy początków i dziejów chrześcijańskiej służby Bożej? Owocem tego wychowania Anglji zapomocą liturgji jest także fakt, że w łonie tego narodu dotąd jest wielu takich, których powoli do wiary ojców znowu przyciąga liturgja katolicka i pewnego rodzaju nostalgja za nią.

* * *

Niejednemu wydaje się może, że przynajmniej za dni naszych oficjalna liturgja straciła rację bytu. Wszak żyjemy tak szybko; wszak ulepszone metody umożliwiają nam skupienie większej liczby wewnętrznych aktów życia duchownego na szczuplejszej przestrzeni. Możeby tedy korzystniej było zastąpić

oficjalną liturgję czemś innem, mianowicie u dusz prostych nabożeństwami bardziej popularnemi, u inteligencji zaś tem, żeby się zostawiło więcej miejsca na rozmyślanie i na inne ćwiczenia pobożności indywidualnej? Obawiam się, że ci, co tak mówią, prześlepiają kilka zasadniczych prawd niezmiernej doniosłości; n. p. prawdę, że człowiek nie jest czystym duchem, lecz składa się z duszy i materji, czyli zewnętrzne zmysły są zwyczajną drogą, którą do niego docierają nawet najbardziej niematerjalne prawdy; nadto, że Kościół, będąc w tym przedmiocie niezmiennym, od samego początku starał się przyzwyczajać wiernych do wielkiej modlitwy zbiorowej, którą Kościół zawsze przenosił nad akty pobożności prywatnej, choćby nie wiedzieć jak chwalebne; wkońcu, że nic nie sprosta wrażeniu, jakie wywierają na lud wierny obrzędy katolickie, jeżeli są wykonane z tą godnością i powagą, która im przystoi.

Niech mi wolno będzie mówić na podstawie własnego doświadczenia. Zapadły kąt dolnej Normandji, w którym spędziłem lata dziecięce, aż pod koniec 19-stulecia był jedną z tych okolic całego świata, w których tradycje liturgiczne najdłużej zachowały się przy życiu. W najnędzniejszych wioskach można tam było być świadkiem liturgji tak wspaniałej, że się dzisiaj czegoś podobnego nie widzi w miejscowym kościele wielkomiejskim; przy współudziale wszystkich śpiewano tam nietylko sumę, nieszpory i kompletę w niedziele i święta, ale także całe przecież tak skomplikowane *Officium* wielkotygodniowe, *Matutinum* i *Laudes* na Boże Narodzenie, nie wykluczając rodowodu Pana Jezusa [1]), a nikomu ani na myśl nie przyszło, żeby opuścić bodaj jednę nutę albo jednę zgłoskę. A tak się nam to podobało, że nieraz, idąc pod wieczór na przechadzkę do pobliskich lasów i dolin, nuciliśmy sobie znowu sekwencję tego dnia albo inną melodję kościelną, która szczególne na nas wywarła wrażenie [2]). Takim to sposobem, bez

---

1) Rękopis Dom Morin'a w tem miejscu ma tylko słowo *„la Généalogie"*. Nie wiem, co ma na myśli, czy rodowód Pana Jezusa według Mat. 1, czy też może przewspaniały tekst *Martyrologium Romanum* na Boże Narodzenie. Może wolno przy tej sposobności wyrazić życzenie, żeby ten przepotężny swoją naprawdę wiecznościową perspektywą historjozoficzną tekst Martyrologium Romanum w jakiś sposób uprzystępnić ludowi wiernemu na uroczystość Bożego Narodzenia. Życzenie to nie jest żadną marottą, bo *Martyrologium* stanowi część liturgji, ta zaś jest dla — wszystkich. *Tłumacz.*

2) Nam tutaj na „wschodzie" Europy wprost nie chce się wierzyć, żeby prosty lud tak żywo mógł uczestniczyć w łacińskich śpiewach kościelnych. Pochodzi to prawdopodobnie stąd, że wierni mówiący po francusku,

specjalnego nakładu na naukę religji, stopniowo stawaliśmy się wręcz znawcami w sprawach Kościoła, poprostu dzięki temu, że żyliśmy rytmem jego życia i podzielaliśmy te uczucia, które uroczyste *officia* roku kościelnego w swej kolejności same wywołują w duszach. Może trudno będzie uwierzyć w to, a jednak ręczę, że tak było naprawdę. Od wczesnej młodości przyjmowany udział w tem, co się działo w kościele w dziedzinie obrzędów i śpiewu, oddziałał na mnie do tego stopnia, że mając lat 17, umiałem napamięć wszystkie, nawet najbardziej skomplikowane części antyfonarza i graduału, choć nigdy nie miałem w ręku dwóch grubych tomów z tekstem i nutami tych części. Może ktoś powie, że to tylko dowód uzdolnienia i wyjątkowo dobrej pamięci. Otóż dla mnie było to coś więcej: dzięki takiemu wykształceniu liturgicznemu zawczasu zrozumiałem, że wśród burzy tego życia mimo niebezpieczeństw, na jakie narażona jest każda dusza chrześcijańska, — że użyję słów pewnego chrześcijańskiego pisarza z najstarszej epoki — „nigdy nie będę mógł zupełnie zapomnieć o Bogu“ [1]) i zerwać z jego Kościołem. Bo Bóg i Kościół tym sposobem potrafili mnie na zawsze przywiązać do siebie wszystkiemi włóknami mej istoty.

Stamtąd przeniosłem się do innego kraju, położonego nieco dalej na wschód Europy; było to w latach ośmdziesiątych ubiegłego stulecia; wtedy jeszcze nie było ani śladu wielkiego ruchu liturgicznego, jaki tam tymczasem rozwinął się wbrew wszelkiej nadziei. Otóż tam wtedy nieszpory już były poznoszone w kościołach kilku diecezyj; zastąpiono je Różańcem, Drogą Krzyżową, wystawieniem i błogosławieństwem Najśw.

---

przecież dużo rozumieją z treści tekstów, śpiewanych po łacinie, choć się po łacinie nie uczyli, bo łacina dzięki pokrewieństwu romańskiemu z francuzczyzną jednak wsącza także swoją treść w dusze słuchaczów. Trudno wszak przypuścić, żeby same melodje gregorjańskie zdołały wywołać takie skutki, o jakich pisze Dom Morin. *Tłumacz.*

[1]) Wielka szkoda, że Dom Morin na marginesie rękopisu nie zanotował, z którego to „starochrześcijańskiego pisarza“ wziął powyższy cytat. —

Może nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że ci, którzy sobie takie wielkie rzeczy obiecują po rozbudzeniu także u nas ruchu liturgicznego, nadzieje te swoje opierają na tych właśnie skutkach, które według stwierdzeń Dom Morin'a wywołać może intenzywny udział ludu w liturgji kościelnej, co nie jest to samo, co „w nabożeństwach“: oto liturgja sprawiłaby znowu, że wierni — jak to było dawniej — żyliby rytmem Kościoła, a ten jest rytmem Chrystusa Pana i Ducha Św., według znanego powiedzenia, że tyle człowiek ma w sobie Ducha Bożego, ile ma ducha Kościoła. *Tłum.*

Sakramentu. Na pewnym kongresie katolickim wyrażono nawet myśl, czy nie byłoby lepiej znieść albo przynajmniej odprawiać rzadziej sumy w niedziele i święta, bo cicha Msza św. wystarcza najzupełniej, a w dodatku ma za sobą tę korzyść, że jest — krótka. W starym naszym kościele katedralnym w Normandji święcenia kapłańskie trwały od rana do południa, i mnóstwo księży ze wszech stron przyjeżdżało, żeby uczestniczyć we wzruszającym obrzędzie wkładania rąk; była to naprawdę *impositio manuum presbyterii.* A co za niezatarte wrażenie robiło takie widowisko na nas młodszych i na wszystek lud wierny, który się cisnął w kościele, a następnie przy wyjściu procesjonalnem wzdłuż ulic i na placach publicznych! Kilka lat później przyszła kolej także na mnie, ale święcenia otrzymałem na obczyźnie. Mój Boże, gdy o tem myślę! Święcenia moje odbywały się o piątej rano, w zimie, wśród mroźnej nocy u bocznego ołtarza; tu i ówdzie w cieniu filarów kościoła klęczało skulonych parę babek kościelnych, a zamiast *„presbyterium“*, obecnych było akuratnie dwóch kapłanów, których współdziałania w biskupim akcie sakramentalnym domaga się rytuał. Dzisiaj jeszcze widzę, jak biskup — był to mąż naprawdę świątobliwy i jeden z najlepszych ludzi — z kilku słowami żywego zdziwienia i nagany odwrócił się, gdy jednemu z obecnych księży pod wpływem pięknej gorliwości przyszło na myśl, żeby przynajmniej jeden z najcudniejszych tekstów obrzędu święceń zaśpiewać, zamiast recytować tylko [1]).

Później, im dalej na Wschód Europy wiodły mię życia koleje, doświadczenia moje w tym względzie stawały się coraz to przykrzejsze. I tak znalazłem się także w pewnym kraju,

[1]) Czytając te żale Morin'a jakżeby się chciało wykrzyknąć: U nas inaczej! Tymczasem u nas właśnie tak samo. *Salva reverentia,* ale nie mogę nie wyznać, że niemal fizycznego doznaję bólu, gdy patrzę na święcenia u nas (a nie myślę przy tem tylko o Krakowie) kapłańskie. Śmiało twierdzę, że na całym Bożym świecie niemasz nic równie pięknego, przejmującego, mimo całej prostoty wzniosłego, równie rozpachniałego wonią najświętszej poezji — jak to misterjum święceń kapłańskich. A lud Boży co z tego wszystkiego ma? To prawda, że obrzędy te nie są *per se* ani dla ludu przeznaczone, ani też w swej skuteczności od udziału w nich ludu zależne. Czy jednak *in fine finali* nie dla jego korzyści ustanowione? Czemuż tedy lud ten nieraz nawet nie wie, że i gdzie się te cuda odbywają? — A przecudne obrzędy konsekracji dzwonów, ołtarzy, kościołów, oraz — *last but not least* Chrztu i Bierzmowania? Gdyby powiedziano, że się to wszystko nie da zrobić inaczej, lecz tylko tak, jak się to — robi, tobym powiedział za niemieckim przysłowiem: *Wo ein Wille ist, da ist auch ein Weg.*
Tłumacz.

który jest katolicki na mocy tradycji, gdzie jednak można było widzieć tylko karykaturę liturgji. W chórze, którego stalle z reguły, nawet w niedziele, świeciły pustkami, poruszało się coś trzech czy czterech duchownych w groteskowym stroju, z których kto wie czy jeden byłby potrafił zaintonować antyfonę albo zaśpiewać *Ite missa est.* Co zaś do chóru śpiewaków, to pióro wzdryga się, gdy się chce pisać o nim; żeby scharakteryzować jego walory artystyczne, trzebaby być Huysmans'em. A jakież to utwory wykonywał ten chór? Były to: Msze bez *„Introitus“* i bez *„Communio“; „Graduale“* i *„Offertorium“* były prawdziwemi bohomazami, które nadto w żadnym nie były związku z uroczystością danego dnia; *„Credo“* było pod każdym względem okaleczone; zdarzało się nawet, że w miejsce *„Credo“* odmówiono „Skład Apostolski“, bo ten trwał przecież jeszcze krócej, aniżeli nawet okaleczone *„Credo“*. Raz w W. Sobotę, w kościele, do którego uczęszczała śmietanka tamtejszego towarzystwa, przytrafiło mi się tam słyszeć Litanję do WW. Świętych, z którą załatwiono się za — dwie minuty. Tam też bywałem na nieszporach, których psalmy, zredukowane często do półtora wiersza, dla każdego słuchacza zdolnego złowić uchem tę łacinę, przedstawiały się wręcz jako akt urągowiska. A to wszystko działo się w mieście, które się przed innemi szczyci i słusznie chlubi wysoką kulturą muzyczną, gdzie zwłaszcza teatr i opera w duszach skupionych widzów zostawiają wrażenia głębokie, niemal religijne! [1]).

Jakiż był skutek tego wszystkiego? Trzon ludności pozostał religijnym z przyzwyczajenia, — mężczyźni i kobiety czynili zadość swoim obowiązkom w niedzielę rano, choć często w swej prostocie zadowalali się tem, że odmówili „swoją mszę“ albo swoją litanję do św. Alojzego, wydrukowaną w ich książeczce do nabożeństwa; dokonawszy tego dzieła, najspokojniej szli sobie do domu, choćby i kapłan odprawiający sumę miał być dopiero przy Ofiarowaniu. Po południu w tym lub owym kościele były nieszpory, o których jednak lepiej nie mówić; także jedno lub drugie „nabożeństwo“ albo „koronka“ dla dusz

1) Tu winienem powiedzieć, że po wojnie zniknęło niejedno z dziwacznych nadużyć, o których tu jest mowa; złożyły się na to rozmaite przyczyny: więc przedewszystkiem ingerencja władz kościelnych, oraz dobroczynny wpływ, idący na całe Niemcy z liturgicznego apostolstwa mnichów w Maria-Laach, choć apostolstwo to jeszcze nie zdołało ani w przybliżeniu wywołać takiego odrodzenia liturgji, jakie można stwierdzić w innych krajach, n. p. we Francji, w Belgji i Holandji.

najpobożniejszych, i na tem koniec. A tu było to takie śmiertelnie smętne. Czy można się potem dziwić, że większość inteligencji nie miała wiele szacunku dla Kościoła, który się jej przedstawiał w tak nędznej postaci? Nieraz zagadywałem studentów, profesorów uniwersytetu, i to najlepszych, jakich znałem wśród nich. „Czy Pan jesteś katolikiem?“ Odpowiedź brzmiała wówczas tak: „Rodzice moi są katolikami, ale ja sam nie zajmuję się religją i to mnie nie obchodzi“. A trzeba zauważyć, że są to spostrzeżenia poczynione w środowisku, w którem nowy system „aliturgicznego“ życia religijnego mógł, od 16 wieku począwszy, z łatwością zakorzenić się w duszach i pokazać, do czego jest zdolny.

Proszę mi darować, że mówię tak całkiem szczerze, ale — dla Boga — muszę wyznać, że gdybym się był znalazł w takich samych warunkach, co ci młodzi ludzie, o których mówiłem przed chwilą, gdyby moje poprzednie doświadczenia nie byłyby mnie nauczyły, że należy odróżniać prawdziwe życie Kościoła od smutnego obrazu, jaki on przedstawia w ich i moich oczach, naprawdę, zapytuję dzisiaj samego siebie, gdzie byłaby dziś moja wiara i czy byłaby ona zdolna wytrzymać tego rodzaju próbę.

* * *

Doprawdy, nie wierzę, iżby obecny stan społeczeństwa ludzkiego usprawiedliwiał jakiekolwiek nowe próby uszczuplenia tych resztek życia liturgicznego, jakie nam jeszcze pozostały. Biskup Dupanloup w swem pierwszem przemówieniu na Zgromadzeniu Narodowem zawołał: „Panowie narzekacie czasem, że wam grozi religja; nie, wam brakuje religji!“ Tak samo i my cierpimy raczej na brak aniżeli na zbytek oficjalnego liturgicznego życia religijnego. Co do mnie, to uważałbym to za najskuteczniejszy czynnik odrodzenia religijnego, gdyby się, to tu to tam, stworzyło i utrzymywało kościelne ośrodki, w którychby liturgja była pielęgnowana w pełnym rozwoju i w sposób możliwie najartystyczniejszy. Naturalnie kościoły katedralne i klasztory byłyby do tego pierwsze powołane; ale w tym stanie, w jakim się one jeszcze po większej części znajdują, nie nadają się one na ten cel. Nie należy się z tem taić; byłoby iluzją wyobrażać sobie, żeby kilku starych kanoników, choćby nawet przybrali sobie do pomocy prebendarzy albo „godzinkarzy“ za głodowem wynagrodzeniem, potrafili kiedykolwiek odprawić *officium divinum* z całą tą godnością, której się ono domaga; to da się osiągnąć li tylko przy pomocy bądź

seminarjum duchownego, bądź też założonego według wszelkich reguł chóru śpiewaków, a składającego się z głosów męskich i chłopięcych, tak, jak to jest w katedrach i kolegjach angielskich. Nawet w zgromadzeniach zakonnych i w kościołach klasztornych najskuteczniejszym środkiem ochrony kultury muzycznej i liturgicznej przed wszelkiem cofnięciem się do stanu barbarzyństwa byłaby wskrzeszona — we formie dostosowanej do potrzeb nowoczesnych — schola, bez której niegdyś każda większa fundacja kościelna byłaby uchodziła za coś niedokończonego.

Tylko wtedy lud mógłby znowu nabrać właściwego wyobrażenia o majestacie Kościoła katolickiego i jego obrzędów. Wówczas też Kościół — że użyjemy słów pewnego afrykańskiego biskupa z V wieku — mógłby znowu ludowi wiernemu „dawać te wzniosłe i dobroczynne widowiska“, które zdołają wprawić w zachwyt umysły ludzkie, a przez to „zachowywać wiarę“ (Migne 40, 638). Skoro zaś rzecz tak się ma, dlaczegóż mielibyśmy pozwolić, żeby wszystkie nasze wysiłki artystyczne wyczerpywały się wyłącznie w dziedzinie świeckiej, w dziedzinie fikcji, kiedy idea religijna ze swoją wzniosłą i porywającą rzeczywistością stwarza dla nich pole działania bez porównania szlachetniejsze i posłannictwo zgoła święte, mianowicie to, iżby ogarnąwszy całego człowieka, podnosiły go aż do Boga? Kilku dawnych mistyków mawiało, że nawet już sam materjalny dźwięk słów Pisma świętego promieniuje jakąś siłą, czemś w rodzaju działania sakramentów; stąd bez paradoksu możnaby powiedzieć, że do każdego aktu, do każdego tekstu, a nawet do czysto zewnętrznych ram liturgji kościelnej przywiązana jest cudowna skuteczność.

* * *

Niektóre z wypowiedzianych dotąd myśli wydadzą się może raczej średniowiecznemi. Otóż teraz wypowiem myśli inne, które — obawiam się — niektórzy będą uważali za zbyt nowoczesne.

Przedewszystkiem tedy zdaje mi się, że liturgja katolicka, co do swej istoty zostając zawsze tą samą, jeżeli chce, żeby była zrozumiana i żeby ludzie znajdowali w niej upodobanie, powinna w mierze możliwie najdalszej przystosować się do szczegółowych potrzeb różnych środowisk.

Słuszność tej zasady i pragnienia, żeby się mogło oglądać jej zastosowanie, przejawiają się zwłaszcza od dwóch czy

trzechset lat, ale za każdym razem, gdy przystąpiono do ich urzeczywistnienia, powstawały nieprzezwyciężone trudności; wszak w praktyce stary gmach liturgiczny dwa czy trzy wieki temu był jeszcze taki sam, jakim go wznieśli papieże i mnisi w czasie od IV do IX wieku; stąd z pewną religijną bojaźnią zadawano sobie pytanie, kto się też kiedy odważy przyłożyć rękę do obalenia go. Z pośród mężów kościelnych najpobożniejsi samą myśl o czemś podobnem odrzucali z oburzeniem, kiedy uczeni, jak n. p. Benedykt XIV, wkońcu zrezygnowali, nie widząc możliwości pogodzenia szacunku dla tradycji z potrzebami chwili. Tylko świątobliwy i uczony kardynał Tommasi w Rzymie, jeden z największych liturgistów wszystkich wieków, we Francji zaś cała elita mężów, którym nie brakowało ani wiedzy ani gorliwości o sprawę religji, odważyli się nakreślić program reform, które pod niejednym względem oznaczały poprostu nawrót do starożytności. Ale przeprowadzenie tych reform ograniczyło się do szeregu czysto lokalnych prób, na które władza rzymska zrazu zdawała się patrzeć przez szpary, dopóki podniesione przeciw nim oskarżenie — zresztą niekiedy uzasadnione — o jansenizm i gallikanizm nie dostarczyło poważnych pobudek do potępienia ich i skasowania. Tym sposobem w pół wieku po powrocie wszystkich diecezyj do liturgji rzymskiej, liturgja ta zdawała się oddalona od reformy bardziej niż kiedykolwiek, mimo, iż konieczność takiej reformy narzucała się każdemu z każdym niemal dniem coraz to bardziej.

Ze swoją prawością, prostotą i energją, której nic nie zdołało powstrzymać, Pius X w przeciągu niewielu dni uporał się zarówno z pobożnemi wątpliwościami jako też z wahaniami uczonych, które były sprawiły, że przez całe wieki nie było można ruszyć z miejsca.

Dwie podstawowe zasady były duszą jego reformy:

1) Psałterz jest istotną podwaliną tradycyjnej modlitwy Kościoła; stąd należy zachować i zapewnić odmawianie go w całości co tydzień. Ponieważ jednak rozdział psalmów na pojedyncze dni tygodnia spowodował *officia* o bardzo nierównej długości, przyczem najdłuższe przypadało właśnie na takie dni, w które kler ma najwięcej zajęć, przeto trzeba było uskutecznić nową repartycję psalmów, któraby usunęła te niedogodności; w tem postanowiono pójść za przykładem św. Benedykta, który już w VI wieku szczególnie długie psalmy i kantyki podzielił na mniejsze części. Na tem polegała Piusowa reforma psałterza.

2) Skoro *Proprium de tempore,* a zwłaszcza *officia* niedzielne i wielkopostne, są najczcigodniejszą, najpiękniejszą i najobfitszą w treść dogmatyczną częścią cyklu liturgicznego, przeto słuszna i sprawiedliwa to rzecz przywrócić im stanowisko należne, dając im dawne pierwszeństwo przed officjami *de Sanctis,* które z biegiem czasu ostatecznie zajęły sobą cały kalendarz i przywłaszczyły sobie niemal na stałe miejsce *proprium de tempore,* skutkiem czego wciąż odmawiano jedne i te same psalmy, te same niemal *lectiones de Scriptura,* te same antyfony i responsorja. Wobec tego z *officia de Sanctis* zatrzyma się tylko te, których zatrzymanie jest uzasadnione potrzebami danej okolicy; nadto, w razie t. zw. *occurrentia,* z reguły będą one musiały ustąpić na rzecz *officium de tempore* i głównych uroczystości; wkońcu *officia de Sanctis* nie będą mogły przeszkadzać ani odmówieniu całego psałterza w przeciągu tygodnia ani odczytaniu całego rocznego cyklu *lectiones de Scriptura occurrente.* Na tem polega reforma kalendarza.

Nie do mnie należy wypowiadać się tutaj co do kwestji, czy te niewątpliwie radykalne modyfikacje jako całość były także tak szczęśliwe i tak zupełne, jak sobie tego można było życzyć. Ci, którzy mieli udział w tej reformie, sami przyznają pierwsi, że jest jeszcze dużo do zrobienia; tak n. p. trzeba skontrolować wybór homilij brewjarzowych, poprawić legendy o Świętych. Nie będzie to drobnostką. Osobiście pozwoliłbym sobie wyrazić jeszcze dwa lub trzy skromne życzenia: niechby też został przerobiony gruntownie hymnarjusz, który często jest tak ubogi i błahy, że aż litość bierze; niechby ustalono bardziej sprawiedliwy stosunek jednych świąt do drugich; wkońcu niechby nam zostawiono te krótkie tradycyjne antyfony psałterza, n. p. antyfony do psalmów nieszpornych na niedziele, które wszystek lud chrześcijański umiał napamięć, bez przedłużań lub podstawień, podyktowanych czysto subjektywnemi zapatrywaniami.

Toby były niektóre desiderata, jakie się zawsze będą pojawiać w podobnych sprawach. Ale to trzeba przyznać, że reforma Piusa X nie pod jednym tylko względem była dziełem pięknem i wielkiem. Zaspakaja ona całe mnóstwo pragnień, które wyrażano od dłuższego już czasu; przychodzi w chwili, w której studja liturgiczne są przedmiotem żywego zainteresowania i obfitujących w wyniki badań, zwłaszcza w środowiskach benedyktyńskich, a z badań tych korzystała ona w ta-

kiej mierze, iż ćwierć wieku temu niepodobna było spodziewać się czegoś podobnego; w niektórych wypadkach usankcjonowała ona i przyswoiła sobie nawet praktykę, która miała wszelkie pozory nowości, a przytem przecież nie poświęciła niczego, co w liturgji rzymskiej takiego Damazego i Leona, Gelazego i Grzegorza, Hadrjana i Piusa V było uświęcone tradycją.

Wkońcu reforma Piusowa była przedewszystkiem czynem mężnym, była jednym z tych śmiałych kroków, na które pozwolić sobie ma odwagę tylko Kościół katolicki, a które świadczą o jego zadziwiającej żywotności. W rzeczywistości liturgjom wschodnim przydałyby się reformy w znacznie większej mierze, aniżeli liturgji rzymskiej, gdyż są one znacznie od niej starożytniejsze, z biegiem wieków o wiele mniej doznały przeróbek, a zwłaszcza są tak długie, że się nigdy nie można doczekać u nich końca, stąd każdy przy pomocy dowolnych zmian czyni z nich wyciągi, jak tylko może. Po prawdzie, każdy ksiądz obrządku wschodniego powinienby wszędzie nosić ze sobą obszerną bibljotekę, chcąc służbę Bożą odprawić według przepisów, a mnisi, którzy starają się spełnić to sumiennie, są wręcz niezdolni do żadnej innej działalności. Stąd stosunki tamtejsze wprost proszą się o przerobienie i kodyfikację, dostosowaną do potrzeb dzisiejszych. Przyznał też to w poufnej rozmowie z jednym z moich przyjaciół, znanym uczonym niemieckim, Jego Wszechświątobliwość, zmarły patrjarcha konstantynopolitański Joachim: „Ale, dodał, proszę tylko spróbować tknąć choćby najmniejszą z tych drobnostek, a ze wszystkich stron podniesie się krzyk, że to jest świętokradztwo, i będą wołać, że to koniec »prawosławia«“.

* * *

Reforma brewjarza niewątpliwie już jest czemś, a korzyść z niej odniesie nietylko samo duchowieństwo; także wierni zyskają na niej, byle im tylko umożliwiono lepsze oswojenie się z cudownemi officjami niedzielnemi i officjami różnych innych okresów roku kościelnego. Brewjarz jednak obchodzi przedewszystkiem duchownych, a choćby się nie wiedzieć co uczyniło dla jego udoskonalenia, to i tak jeszcze pozostanie dużo do zrobienia, żeby liturgję uprzystępnić ogółowi ludu wiernego. Bo niema co ukrywać: niestety aż nadto prawdziwem jest zdanie, które pewnego dnia słyszałem z ust wysokiego anglikańskiego dygnitarza kościelnego: *Book of Common*

Prayer z każdym dniem staje się droższym i bliższym sercu wierzących członków kościoła państwowego; Brewjarz zaś Rzymski z każdym dniem staje się coraz to bardziej księgą zamkniętą i niezrozumiałą dla olbrzymiej większości wierzących katolików“.

Skąd to pochodzi? Przedewszystkiem — jestem o tem przekonany — stąd, że Kościół w swych funkcjach liturgicznych posługuje się wyłącznie łacińskim językiem. Fakt zdaje się nie ulegać wątpliwości; gdzież to bowiem aż po nasze dni najlepiej przedstawia się życie liturgiczne w praktyce, i gdzie wierni po dziś dzień największe znajdują upodobanie w liturgji, jeżeli nie u narodów pochodzenia łacińskiego, których język wywodzi się z łaciny? Bez tradycji tak żywo przechowanej we Francji, coby się było stało n. p. z tą cudowną muzyką gregorjańską, która w gruncie rzeczy jest muzyką grecko-łacińską, a której odrodzenie i przywrócenie jej należnego szacunku jest również jednym z wielkich czynów pontyfikatu Piusa X? A nawet już po wszystkich dekretach Piusowych i jego energicznych zarządzeniach, w którychże to krajach ogłoszenie nowych przepisów i wydanie ksiąg śpiewu kościelnego, zgodnego z tradycją, ostatecznie było uwieńczone jakiem takiem powodzeniem? Odpowiedź brzmi znowu tak: jedynie, albo bezmała jedynie w krajach zamieszkałych przez rasę łacińską, choć jeszcze nie we wszystkich, wcale nie. W innych okolicach, nawet najbardziej katolickich, postęp, jeżeli jaki jest, nie da się stwierdzić. Znam to i owo wielkie miasto o blisko półmiljonowej ludności katolickiej, gdzie poza skromną kaplicą trudno będzie znaleźć ogółem sześć egzemplarzy oficjalnego i obowiązującego śpiewnika kościelnego; a tych sześć egzemplarzy na dobitek jest jeszcze ukrytych w bibljotekach amatorskich, nie służących celom praktycznym.

Tych spraw można palcem dotknąć w miarę jak się człowiek z Francji i Belgji zbliży nieco ku Niemcom. W Alzacji-Lotaryngji i w Nadrenji jeszcze można się spotkać ze zrozumieniem i umiłowaniem prawdziwych kulturalnych tradycyj Kościoła, często nawet w stopniu bardzo znacznym, ponieważ kultura romańska dłużej pozwoliła tam odczuć swój wpływ. W miarę jednak posuwania się dalej na Wschód upadek staje się coraz bardziej widoczny, a nawet często przechodzi wszelkie granice. Czy się tam jeszcze trzymają starych zboczeń muzyki koncertowej lub operowej, czy też dobre chęci posuwają aż tak daleko, iżby tolerowali ten lub ów utwór muzyki

świętej, wyjęty z jakiegoś tam okaleczonego wydania, rezultat w jednym i drugim wypadku jest jednakowo nieznośny, jednakowo niegodny Kościoła. Jedno tylko przytem jest piękne, mianowicie to, że wszyscy wierni często biorą udział w nabożeństwie, śpiewając pieśni we własnym języku ojczystym [1]); szczególnie piękny jest ten udział wówczas, gdy nie chodzi o rasę zbyt ociężałą; co więcej: jeżeli śpiew nie jest zanadto przeciągły, wówczas wrażenie jest nieraz potężne, podobne do tego, którego niegdyś musiał doznawać Augustyn św. pod sklepieniami bazylik medjolańskich. Wtedy wierni rozumieją to, co śpiewają, i wkładają w to całą duszę, wszystko swoje umiłowanie artystyczne i religijne [2]). Kiedy po takim śpiewie całego ludu zabrzmi jakiś utwór łaciński, n. p. proste *Tantum ergo* na zakończenie nabożeństwa, wówczas natychmiast rozlegają się bezbarwne tony, niezrozumiałe dźwięki i najkomiczniejsze rytmy, tak, że człowieka bierze obrzydzenie.

To też zaliczam się do tych, którzy mniemają, że Kościół, jeżeli chce, żeby lud nadal rozumiał liturgję i pokochał ją,

---

1) Wobec skąpych dat trudno sobie odpowiedzieć na pytanie, jaki to śpiew wiernych w narodowym języku Dom Germain ma tu na myśli, że się mu aż tak spodobał. Jeżeli chodzi o wspólny i gromadny śpiew niełaciński na cichych Mszach, to czyżby Dom Morin musiał aż wychodzić poza granice Francji, żeby go usłyszeć? Czyżby we Francji wierni w kościele wogóle n i g d y nie śpiewali po francusku, lecz zawsze tylko po łacinie? Jeżeli natomiast Dom Morin, n. p. w niektórych okolicach austrjackich, słyszał lud śpiewający jakąś *„Singmesse“*, które tam tu i ówdzie bywają śpiewane nawet(!) podczas *Missa cantata,* to cóżby dopiero powiedział, gdyby usłyszał pełny kościół rozśpiewany w czasie Mszy św., nawet na sumie(!) w niedziele i święta(!), n. p. na Śląsku cieszyńskim, a zwłaszcza na Górnym, który słynie z tego, że lud tam nie krzyczy i nie wydziera się, lecz naprawdę śpiewa równo, żywo, dyskretnie, choć głośno i pięknie. W takim razie t o jego wołanie o reformę dla nas równałoby się wyważaniu otwartych drzwi. — Pisząc te słowa, bynajmniej nie myślę twierdzić, żeby to był stan idealny, jeżeli w „odpowiedzi“ kapłanowi, intonującemu n. p. *„Gloria“,* lud unisono ciągnie dalej na temat „Do twej dążym kaplicy“, choć dana Msza św. jest albo *de Dominica* albo ku czci jakiejś tajemnicy, z którą dana pieśń nie ma nic wspólnego. *Tłumacz.*

2) Było to jeszcze przed wojną. Pewien Benedyktyn z opactwa Seckau (czy Emaus?), gdzie już zajmowano się śpiewem gregorjańskim, zjechał na Śląsk Cieszyński i był obecny na sumie i na nieszporach. Kiedy usłyszał tamtejszy polski katolicki lud śpiewający po polsku w czasie sumy i na nieszporach, w te odezwał się słowa: „Nigdybym nie był przypuszczał, że usłyszę coś równie pięknego i potężnego jak ten śpiew. Wobec tego byłoby zbrodnią chcieć zmuszać ten lud, żeby zamiast dopiero co słyszanego polskiego śpiewu nucił łacińskie melodje i psalmy, choćby i gregorjańskie“.
Tłumacz.

zczasem będzie musiał przyznać mniej lub więcej miejsca w liturgji temu językowi, którym się posługują wierni w życiu. Wszelka akcja w tym duchu byłaby tem bardziej usprawiedliwiona, że wskutek obniżenia się studjów klasycznych, znajomość łaciny i posługiwanie się nią nawet wśród kleru stają się coraz to rzadsze.

Niejednokrotnie przytrafiło mi się, że zwykła prośba o spowiedź po łacinie pewnego członka kleru niemieckiego napełniła niechęcią i pewnego rodzaju lękiem. Zapewniają mnie też, że nawet znaczna część kleru hiszpańskiego coraz gorzej włada łaciną, która wszak jest oficjalnym językiem Kościoła. Jeżeli sprawy tak stoją wśród kleru, jakże się tu spodziewać, że prości ludzie świeccy masami rzucą się do nauki łaciny, w tej mierze, iżby mogli z uwagą uczestniczyć w obrzędach i zainteresować się niemi?

Mówi się, że przecież mamy tłumaczenia, i że tłumaczenia te częściowo zaradzają nieznajomości języka, którym przemawia Kościół. Bezwątpienia, ale to przecież jest tylko półśrodek, który może być stosowany jedynie w najgorszych razach (*un pis aller*), i wolno sobie doprawdy zadać pytanie, czy Dom Guéranger nie miał wkońcu jednak racji, gdy wypowiedział takie napozór paradoksalne zdanie: „Tłumaczenia liturgji doprowadziły do tego, że wierni usunęli się od modlitwy publicznej“ [1]). Takiemi przekładami niech się ludzie posługują spokojnie poza nabożeństwem; nikt nie będzie miał nic przeciw temu; w kościele natomiast wierni powinni być wszyscy jednem okiem, żeby patrzeć na wzniosłe widowisko, które się przed nimi rozgrywa, jednem uchem, żeby brać w siebie dźwięki chwały Bożej, a nawet jednym głosem, jeżeli to jest możliwe, żeby brać czynny udział w służbie Bożej. Widok człowieka w kościele, podczas sumy zajętego czytaniem jakiejś książki, choćby to był i najdoskonalszy mszał z tekstem nowoczesnym obok łacińskiego, lub bez niego, za każdym razem czyni na mnie wrażenie schizmy indywidualnej; jest to bowiem odosobnianie się; przez to człowiek na chwilę staje się obcym życiu społeczności chrześcijańskiej, ustawia sobie swoją własną ambonę i swój ołtarz, że nie powiem: swój kościół; słowem oddala się od celu i od idei wielkiej zbiorowej modlitwy Kościoła.

Czy mi wolno będzie na tem miejscu — z całą rezerwą, której się domaga sprawa tak drażliwa i delikatna — wyłożyć

---

1) *Festugière, La liturgie catholique,* Maredsous 1913, pag. 39, nota 1.

jedyny sposób rozwiązania, jaki kiedykolwiek zdołałem znaleźć dla zawikłanego problemu udziału wiernych w publicznej służbie Bożej Kościoła? Oto i on: oczywiście nie może być mowy o tem, żebyśmy mieli wyrzec się używania łaciny i zastąpić ją liturgją w języku narodowym; nie. Język Rzymu, to cudowne narzędzie potęgi cywilizacyjnej, zatrzymałby wszystkie swoje istotne uprawnienia, a nawet dołożyłoby się starań, żeby o prawa te upominać się i umocnić je wszędzie tam, gdzie zachodzi niebezpieczeństwo, iż mogłyby być uszczuplone, tam zaś, gdzie one dzięki Bogu po dziś dzień są we czci i poszanowaniu, żeby nie uronić nic z ich stanu posiadania.

Czyżby jednak nie dało się stopniowo doprowadzić do tego, iżby się odróżniało po słuszności i prawdzie między pojedyńczemi częściami, z jakich się dzisiaj składa nasza liturgja? Wszak jasnem jest n. p., że kanon Mszy św. i inne teksty sakramentarza, tej księgi przez swą istotę kapłańskiej i biskupiej, pod względem starożytności i doniosłości dogmatycznej należą do zgoła innej kategorji aniżeli *Introit, Offertorium, Communio, Kyrie* i wszystkie te części Mszy, które wprowadzono głównie w tym celu, żeby całe zgromadzenie wiernych równocześnie miało się czem zająć i nastroić na ton uroczystości, dając im możność uczestniczenia w tajemnicach Bożych, sprawiających się na ołtarzu, przez wspólne śpiewanie ku chwale Boga.

Cóżby tedy kto mógł mieć przeciw temu, gdyby się, zachowując łacinę dla oracyj, dla prefacji, jednem słowem dla całej części kapłańskiej, tam, gdzie stosunki tego wymagają, tolerowało, a nawet popierało używanie tylko tego języka, który lud rozumie, w tych częściach służby Bożej, do uczestniczenia w których powołany jest lud przedewszystkiem? [1]).

Chciałbym jednak być dobrze zrozumiany; nie chodziłoby o to, żeby się ludowi dało do śpiewania jakiebądź słowa,

---

1) Trudno tu nie zrobić następujących uwag. Pius X, którego zasługi w dziedzinie reformy liturgicznej Dom Morin tak wysoko podnosi, w „*Motu proprio*“ o śpiewie gregorjańskim wyrażając życzenie, żeby cały lud śpiewał po gregorjańsku części Mszy, przeznaczone do śpiewania, ani słówkiem nie napomyka o tem, żeby to miał być śpiew w języku narodowym, co się rozumie samo przez się, skoro śpiew gregorjański tylko śpiewem łacińskim być może. — Warto też zadać sobie pytanie, kto ustanowi granicę koncesyj na rzecz języka narodowego w liturgji. Któż bowiem da gwarancję, że po przyznaniu „narodowego“ śpiewu „niekapłańskich“ części liturgji nie będą podnoszone żądania, żeby i oracje i prefacja i t. d. „unarodowiły“ się również? *Tłumacz.*

choćby się te słowa i ściśle wiązały z liturgją danego dnia. Nie. Czego jabym sobie życzył, to byłaby kolekcja świętych pieśni, niepospolitych pod względem formy i walorów literackich; do kolekcji tej weszłyby różne teksty, przez wiekową tradycję Rzymu poprzydzielane różnym officjom roku kościelnego, ale nie w drodze prostego przekładu (z łaciny), lecz w ten sposób, żeby się z nich niejako wyciągnęło jakby miazgę i zawartą w nich osnowę dogmatyczną. Nie byłaby to — ma się rozumieć — rzecz łatwa do zrobienia. Ale cel jest tak szlachetny i tak wzniosły, że genjusz świętej poezji miałby tutaj doprawdy źródło najszytniejszego natchnienia [1]).

Gwałtowna opozycja, która się w przeszłości często podnosiła przeciwko tłumaczeniu tekstów liturgicznych na języki narodowe, nawet do prywatnego użytku, prawie wyłącznie płynęła z dwóch źródeł: obawiano się, że takie tłumaczone teksty obniżą szacunek wiernych dla religji, lękano się także ze strony tłumaczów niedokładności w wyrażeniach, a może nawet w nauce. W rzeczywistości atoli pierwszy z tych względów nigdy nie miał tak znowu wielkiej wagi, bo to pewna, że na początku, a także i później, przez długi czas liturgja była na to, żeby ją ludzie rozumieli [2]), a większość wiernych rzeczywiście rozumiała ją. W praktyce też obecnie na ten moment nie kładzie się już żadnej wagi. A co do drugiego względu, to bezsprzecznie miał on znaczenie wtedy, kiedy znoszenie się Rzymu z resztą świata katolickiego mogło ulegać różnym opóźnieniom, będąc narażonem na tysiączne przeszkody, skutkiem czego było znacznie trudniej czuwać nad prawowiernością i zapobiegać przesiąkaniu błędu. Natomiast dzisiaj wobec niezliczonych ułatwień komunikacyjnych, jakie przyniosły

---

1) W łonie kościoła anglikańskiego spróbowano czegoś takiego, wydając zbiór śpiewów kościelnych, który p. t. „*The English Hymnal*“ ukazał się w Oxfordzie i w Londynie r. 1906, i trzeba przyznać, że próba ta wypadła nie najgorzej. Prawo do wzmianki ma chyba także nader zasłużona praca niemieckiego konwertyty J. F. H. Schlossera „*Die Kirche in ihren Liedern*“ (Freiburg i, B. 1863), choć dzieło to mimo rzetelnych zasług nie odpowiada zupełnie temu, co mam na myśli.

2) Twierdzenie to w całej rozciągłości prawdziwe nie jest, zwłaszcza jeżeliby się mu chciało nadać znaczenie zasady, któraby głosiła, że liturgja jest po to i na to, żeby ją wierni rozumieli. Cel bowiem liturgji nie jest zależny od zrozumienia jej przez wiernych, a polega na chwale Bożej, która może być osiągnięta bez względu na to, czy wierni liturgję rozumieją lub nie. Zrozumienie liturgji przez wszystkich jest wprawdzie rzeczą wysoce pożądaną, ale nie konieczną. *Tłumacz.*

nowoczesne wynalazki, i przy tak sprężystej centralizacji, jaka się dokonała w Kościele w stopniu może nawet wyższym aniżeli w społeczeństwie świeckiem, nawet najlżejsze jakieś niedomaganie w tej dziedzinie jeszcze zdążyłoby nie zaznaczyć się, choćby się nawet pojawiło u antypodów, a jużby o niem była powiadomiona władza kościelna w Rzymie. Zresztą przecież tylko od tej władzy zależałoby czuwanie nad tym śpiewem kościelnym w języku narodowym i zatwierdzanie go z urzędu, podobnie jak się to dzieje od niedawna, kiedy władza zaczęła wydawać urzędowe tłumaczenia swych rozporządzeń i encyklik, i jak jutro może zażądać, żeby katechizmy, używane w różnych krajach, poddano pod jej kontrolę i wyraźną aprobatę.

Nie jestem prorokiem, ale zdaje mi się, że gdyby się pewnego dnia dała uskutecznić podobna kombinacja, Kościół przedstawiłby światu wielkie i piękne widowisko, że byłby wtedy bardziej katolickim niż kiedykolwiek, gdyż mówiłby wówczas językami wszystkich narodów świata, jak w dzień Zesłania Ducha Św., że Kościół wówczas byłby także bardziej jednym Kościołem, według zamiaru Boskiego swego Założyciela, nietylko jednością wiary i miłości, lecz aż do jedności mowy wszystkiego ludu swego, która to mowa wtedy na nowo rozbrzmiewałaby, pełna życia i zrozumienia, *„abyśmy jednomyślni, jednemi usty wielbili Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa“* (Rzym. 15, 6).

Dom Germain Morin O. S. B.

* * *

„Ostateczny“ sąd w całej tej trudnej sprawie może wolno będzie ująć w ten sposób. W posiadaniu i używaniu j e d n e g o, i to martwego, w szczególności zaś właśnie łacińskiego języka liturgicznego, Kościół upatruje walory tak znaczne i nieocenione, że zamiast marnować wysiłki na utwory poetyckie i muzyczne „narodowej“ hymnodji dla „niekapłańskich“ części liturgji, należałoby raczej skierować je gdzieindziej. Mianowicie należałoby dążyć do tego, żeby w kościołach katedralnych i klasztornych rozlegał się śpiew gregorjański naprawdę pierwszej klasy, żeby świat miał sposobność śpiew ten najpierw poznać, bo go nie zna. Poznawszy zaś, nie będzie mógł nie pokochać go całą duszą i gorąco zatęsknić do szczęścia uczestniczenia w nim po łacinie, nawet poza katedralnemi i klasztornemi kościołami. Bo w śpiewie gregorjańskim jest coś, co się nie da zastąpić niczem innem, i co sprawia, że lud musi w nim zasmakować. Dla zrozumienia tekstów wystarczą wówczas przekłady i t. p. pomoce literackie, wykłady, odczyty, nauki, kazania. Mnie się zawsze zdaje, że jeszcze nadejdzie czas, kiedy wszyscy będą sobie to poczytywali za zaszczyt, iż będą mogli nucić chwałę Bogu w tym języku, którym przemawia *Sancta Mater Ecclesia Romana*, i że wtedy dopiero w prawdziwem znaczeniu ziszczą się przytoczone

przez Dom Morin'a słowa św. Pawła z listu do Rzymian rozdz. 15, w. 6, jak wyżej.

Po uskutecznieniu przekładu powyższego artykułu w liście do Dom Morin'a przedstawiłem faktyczny stan „ruchu liturgicznego“ w Polsce, w szczególności zaś opisałem sposób, w jaki lud wierny — szczególnie przez śpiewanie pieśni religijnych po polsku, a zwłaszcza nieszporów i w czasie Mszy świętych, nawet śpiewanych, — uczestniczy u nas w liturgji. W odpowiedzi na ten mój list Dom Morin napisał do mnie, co następuje: „Les détails que vous donnez sur l'état de la vie liturgique en Pologne, m'ont extrêmement intéressé. C'est bien un peu ce que j'aurais imaginé à priori: mais je ne savais pas, que vous eussiez une tradition aussi autorisée et relativement aussi ancienne de Chants d'Église en langue vulgaire. (Pisząc Dom Morin „chants d'Église“, prawdopodobnie ma na myśli to, co mu napisałem o psalmach nieszpornych i „O Przenajśw. Hostjo“ oraz „Przed tak wielkim Sakramentem“). Dans un tel état de choses, évidemment, la sagesse élémentaire est de ne rien changer brusquement: c'est sûrement l'avis, qu' aurait donné en pareil cas s. Grégoire le Grand lui même. (S. Gregorii M. Epist. XI 64. Migne P. L. 77, 1186, s. (Uw. moja). Arracher à votre peuple ces chants, qu'il aime et qui le tiennent „attaché aux mamelle de l'Église“, selon le langage d'Augustin, serait véritable *un crime* (podkreślił Dom Morin). Tout ce qu'on peut souhaiter, c'est que, dans les Cathédrales, dans les Monastères il y ait, à côté de cela, une vie plus strictement liturgique dans le sens de la tradition romain. Mais il faut y mettre le temps, et laisser toute évolution *vers le mieux* (podkreślenie moje) s'accomplir d'elle-même, et comme naturellement... Mais merci surtout de la joie qu'a procuré à mon âme le tableau tracé par Vous de la vie d'Église de votre bon peuple Polonais“.

Ks. Jan Korzonkiewicz.

AMBONA I ŻYCIE.

Ku naprawie polskiego kaznodziejstwa.

Mowa na otwarcie 1-go kursu homiletycznego w Poznaniu, 22 listop. 1926 r.

Celsissime Domine! Najdostojniejszy Księże Prymasie! Drodzy Konfratrzy!

Z serdeczną radością witamy ten pierwszy na wielkopolskiej ziemi kurs homiletyczny. Mówię wyraźnie: Na wielkopolskiej ziemi. Albowiem na ziemiach polskich w ogólności nie jest on pierwszym. Już w roku 1922 odbył się taki kurs w Kielcach, a w dziejach polskiego kaznodziejstwa zaznaczył się on bardzo pomyślnie, skoro z nim łączą się urodziny poważnego pisma, poświęconego kaznodziejstwu, — Przeglądu Homiletycznego.

W innych krajach kursy homiletyczne mają już swoją historję. Szczególnie Niemcy zawdzięczają kursom homiletycznym, jak przyznają, poważne odrodzenie ambony. Ojcem tych kursów w Niemczech to prymas katolickiej homiletyki niemieckiej, biskup Keppler. Z jego inicjatywy odbył się pierwszy kurs homiletyczny w Ravensburgu, następny miał miejsce w Wiedniu, pod kierownictwem znanego prałata Swobody, późniejszy znowu w Ravensburgu, a za nimi poszedł cały szereg w innych diecezjach.

Kursom homiletycznym nadano od samego początku charakter fachowego rachunku sumienia, jak się wykonuje ważny dział duszpasterstwa, głoszenie Słowa Bożego. Ten rachunek sumienia odbywa się nie tajnie, jak to się dzieje przecież także na rekolekcjach, w cichości duszy, w oczach samego tylko Boga, na płaszczyźnie wyłącznie osobistej odpowiedzialności moralnej. Nie, tu stosuje się prawidła i normy fachowe do czynności naszej kaznodziejskiej i w tem zestawieniu bada się, azali to *ministerium verbi* spełniamy z wyzyskaniem wszystkich zdobyczy nauki nowoczesnej, z uwzględnieniem nowych potrzeb dusz, z oparciem o najświeższe, wymogami czasu ustalone, zasady homiletyki.

Dla nas taki rachunek sumienia podwójnie jest ważny. Jest przecież publiczną tajemnicą, że u nas niwa kaznodziejstwa w ogólności mocno jest zapuszczona, z drugiej zaś strony brak poważnych wysiłków nad podniesieniem tego działu pracy naszej kapłańskiej.

Jeżeli chodzi o scharakteryzowanie posuchy na niwie kaznodziejskiej w Polsce, to mógłbym tu snadnie powtórzyć słowa włoskiego historyka kaznodziejstwa we Włoszech, Giovanni Lucca: „*Dopo il Barbieri e il Ventura, in Italia, l'eloquenza continua a vantare numerosi oratori, ma pochissimi grandi*". W przekładzie tego orzeczenia na stosunki polskie trzebaby się cofnąć, zdaje się, aż do Kaysiewicza, którego Tarnowski stawia jako jedynego kaznodzieję obok Skargi, i wtedy możnaby analogicznie powiedzieć: Od Kaysiewicza czasów historja homiletyki wymienia dość licznych mówców, ale bardzo niewielu wielkich, takich, którzyby uwagę całego narodu ściągnęli na siebie.

Wprawdzie do szerzenia Królestwa Bożego nie potrzeba koniecznie tak zwanych wielkich kaznodziejów. Wielkich proroków wzbudzi sobie Pan Bóg, gdy na zegarze Opatrzności uderzy godzina potrzeby, i wtedy oczyści, jak u Izajasza, ich

wargi ognistym węglem i rozżarzy ich serca. I nie to jest złem świadectwem dla stanu kaznodziejstwa w kraju, że niema luminarzy homiletycznych. Byleby tylko średni stan w kaznodziejstwie dobrze był wyposażony, byleby dużo było tych, którzy są *super pauca fideles,* (nacisk kładę na: fideles, nie zaś na: super pauca), byleby świadomość naszej pod tym względem niedoskonałości stawała się pobudką do szukania postępu. Chwalić Boga, jest przecież i szereg, acz niewielki, tych bezimiennych kaznodziejów, tych szarych skowronków, opowiadających ewangelję miłości, a nie szukających rozgłosu, a tak pokornie o sobie mniemających, że nie śmią swoich utworów kaznodziejskich, wcale godnych światła dziennego, ogłaszać drukiem. Dowód, że jest pewien stan średni w naszem kaznodziejstwie, widzę w naszej Nowej Bibljotece Kaznodziejskiej, w której jeżeli nie perły, to przecież znajdą się co pewien czas ziarenka złota — a stwierdzam to, mimo że krytyka wielu księży nie jest pobłażliwa, co zresztą nie zadziwia, gdy się zważy, że gotowość i pohopność do krytykowania u naszych konfratrów, tych zwłaszcza, którzy w żadnym kierunku się nie wysilają, jest jakby pewną łaską stanu.

Jeżeli zaś mówiłem o braku wysiłków u nas, aby kaznodziejstwo podnieść na wyższy poziom, to miałem na myśli brak wysiłków skoordynowanych, podjętych na wielką skalę, godnych tak wzniosłej sprawy jak głoszenie Słowa Bożego, osłoniętych powagą hierarchji kościelnej. Tego w Polsce nie widzę. Nie brak oczywiście wysiłków mniejszych, podejmowanych przez jednostki gorliwsze, sporadycznych, lokalnych, ba nawet większych, ale nie znajdujących poparcia u ogółu duchowieństwa. Godnym ze wszech miar pochwały był wysiłek na gruncie poznańskim dokonany w postaci Kółka homiletycznego, lecz podzielił on, mimo zapału jednostek, los ziarna ewangelicznego, które padło na opokę niezrozumienia, a przyciśnięte cierniem niepomyślnych warunków nie przyniosło owocu. Poważnym już wysiłkiem jest założenie tak znakomitego pisma homiletycznego, jak kielecki Przegląd Homiletyczny. Cóż, kiedy na tysiące księży polskich popiera go zaledwie drobna część, reszta zaś patrzy obojętnie, jakby nie o ich sprawę chodziło, na pracę entuzjastycznych redaktorów i ich znakomitych współpracowników; o poparciu całej Polski, o zaleceniu oficjalnem, o wywarciu pewnego słodkiego nacisku zgóry niema mowy.

Kurs homiletyczny ma na to wszystko zwrócić uwagę, ma obmyśleć środki na podniesienie kaznodziejstwa, ma ułożyć

plan działania na przyszłość, ma zachęcić do wytężonej pracy w dziedzinie *ministerii verbi.* Gdyby ten pierwszy kurs homiletyczny w Poznaniu podtrzymał przynajmniej ten średni stan kaznodziejski, rozszerzył jego podstawy, wzmocnił u niego świadomość własnej wagi i poprowadził go na wyższe poziomy, gdyby jeszcze tym, którym Pan Bóg nie poskąpił iskry krasomówczej, dał bodźca do rozniecenia talentu na chwałę ambony polskiej, to ambicje i szczere pragnienia inicjatorów kursu byłyby całkowicie zaspokojone.

Aby osiągnąć te szczytne cele, jakżebym pragnął przedewszystkiem wpoić w serca kapłanów należyty szacunek, właściwą ocenę „słowa“.

Słowo! Ile to razy mówcy, poeci, filozofowie silili się, aby aforystycznie, treściwie a mocno określić wartość, ważność, doniosłość, znaczenie słowa ludzkiego. Ta odrobina powietrza, które wytwarzamy nadęciem płuc nieznacznem, naprężeniem strun głosowych, ruchem warg i języka, siłą swoją spokrewnia się z wszechmocą. Pod wpływem słowa łamie się złość uporczywa, łagodzi się dziki gniew, gaśnie pożar namiętności, pod wpływem słowa tłum pieni się lub ucisza, krzyczy *Hosanna* lub *Ukrzyżuj!* Padnie słowo, a armje stają przeciwko sobie, leje się morze krwi i wyrastają tysiące mogił. Rzekło się słowo, jak ono słowo pod Piramidami, a zjawia się bohaterstwo nieprzeczuwane, a dusze rwą się do heroizmu. Zaiste, nie był dalekim od prawdy stary Eurypides, który nazwał słowo udzielnym księciem w królestwie duchów.

Mało to dzieje dostarczają dowodów, jak to ognista wymowa nadawała nieraz bieg dziejom świata, jak zapalały się od niej duchy i jak pod jej działaniem przeistaczały się najróżniejsze sfery życia. Wymienię tylko takie imiona jak Grecja i Demostenes, Rzym i Cycero, wojny krzyżowe i Piotr z Amiens ze swojem: *Dieu le veut!* Czyż nie pamiętacie, ile to razy słowo ludzkie rzucało żagiew wojny, co pół świata obracała w perzynę, ale też ile razy słowo ludzkie lało oliwę ukojenia na wzburzone fale namiętności tłumów, jak naprzykład słowo misjonarzy po rzezi galicyjskiej!

A dopiero słowo w dziedzinie religji! Słowo, które we chrzcie wypędza czarta, a wprowadza całą Trójcę Świętą do duszy, — słowo, które w konsekracji przemienia chleb i wino w Ciało i Krew Zbawiciela, — słowo, które w rozgrzeszeniu rozkuwa kajdany grzechu i otwiera grzesznikowi przemienionemu bramy rajskie... W dziedzinie religji otrzymuje słowo

najwyższe namaszczenie, bo samo w sobie takie nieznaczne staje się narzędziem nieskończoności. Słowo to dusza, która się wyraża nazewnątrz. „Słowo“ w teologji to przecież także imię Syna Bożego. Czyż to samo nie budzi poważnych myśli?

Prawda, że jak zwracają uwagę homileci, także *malus genius* używa słowa wymowy, jako narzędzia do swoich celów. Spowodowało to nawet Kanta do określenia wymowy jako sztuki zwodzenia zapomocą pięknych pozorów (*die Kunst, durch den schoenen Schein zu hintergehen*). Ale wszakżeż to jest wspólną właściwością wszystkich dóbr ziemskich, z wyjątkiem cnoty, nawet najpożyteczniejszych, iż można je zniewolić do służenia złej sprawie. Ze smutnej tej rzeczywistości wyciąga św. Augustyn taki słuszny wniosek:

> *„Cum sit in medio posita facultas eloquii, quae ad persuadenda seu prava seu recta valet plurimum — cur non bonorum studio comparatur, ut militet veritati, si eam mali ad obtinendas perversas vanasque causas in usus iniquitatis et erroris usurpant* (*De doctr. christ. IV, c. I*)*“.*

Tem świętszym jest obowiązek tych, którzy okiem wiary patrzą na wymowę jako środek do wyższego, nadprzyrodzonego celu, i którzy z powołania zobowiązani są używać słowa jako narządu zbawienia dusz i jako oręża dla obrony prawdy — *ut militet veritati* — cenić należycie i nie szczędzić gorliwości, aby zeń uczynili sobie miecz i oręż sprawny ku obronie prawdy!

* * *

Nie będę powtarzał tutaj, co nam nauka o wymowie przedstawia, jako *rudimenta* i podstawowe warunki wymowy. Dla celowości swojego wykładu tylko powiem, że wymowa jako sztuka liczy się z jednym fundamentalnym warunkiem to jest uzdolnieniem naturalnem. W tem znaczeniu mówiło starożytne adagio: *„Orator nascitur“.* To naturalne uzdolnienie obejmuje nietylko właściwości i zalety umysłu, ale także warunki fizyczne. Głos, słuch, sposób pronuncjacji, ruch, harmonja akcji ze słowem, niezmiernie wysoką odgrywają rolę u mówcy, kaznodziei. Naturalne w tej mierze defekty stanowią bardzo często *impedimentum dirimens* do zawarcia zrękowin t. zw. mówcy ze sztuką wymowy. Kto ma wadliwą budowę gardła lub warg, kto ma sztuczne podniebienie, w nosie polipa, uzębienie w nieporządku, ten z naturalnych przyczyn i przeszkód mówcą być nie może.

Oczywiście wszystkich zalet, potrzebnych dla stworzenia typu doskonałego mówcy nie znajdziesz często w jednym człowieku. O. Stateczny z własnego doświadczenia przytacza tylko jedynego Ojca Augustyna de Montefeltro, który w jego pojęciu najwięcej się zbliżał do ideału mówcy. O tymże Augustynie powiedział w jednym ze swoich wykładów na uniwersytecie bolońskim poeta Carducci, że gdyby Cicero był go słyszał, nie byłby, wyliczywszy zalety doskonałego mówcy, w dziele „*De oratore*“ napisał, że wszystkich zalet uosobionych w jednym człowieku natrafić nie można. (Stateczny, Listy o wymowie).

O ile te wszystkie zalety przyrodzone pojmuje się jako nieodzowny warunek, pasujący mówiącego na mówcę, o tyle słuszne jest hasło: „*Orator nascitur*“.

Ale sama *indoles* może zaschnąć jak kwiat na krzewinie, gdy do korzenia ni do liści dopływać nie będzie wilgoć. Podsycają to uzdolnienie nauka, ćwiczenie i naśladowanie wzorów. I w tym sensie mówi się: „*Orator fit*“. *Indoles* czyli naturalne uzdolnienie ma pierwszy głos, ale pilność, zamiłowanie, wytrwałość zastąpi często w wielkiej mierze to, czego odmówiła natura. Znaną całą rzecz o Demostenesie ja między bajki włożę. To jednak nie ma oznaczać, jakoby usilną pracą nie dało się pokonać dużo przyrodzonych wad. Owszem, wierzę, że twarda praca nad sobą może wywołać pewną sztuczną harmonję słowa, głosu, ruchu, której poskąpiła matka natura. Czem się to tłumaczy? Otóż w każdym mówcy musi się ujawniać coś z muzyki i coś z akcji dramatycznej. Na strunach głosu musi i może mówca wydobywać tony o nieskończenie rozmaitej modulacji. Akcja powinna zaokrąglać i uzupełniać słowo ruchem, mimiką, gestem. Jedno i drugie da się, acz niezawsze, wymusić na sobie przez energiczną pracę. I w tem tkwi kunszt mówcy, usprawiedliwiający zasadę: „*Orator fit*“.

Zachwycałem się mowami ś. p. arcybiskupa Stablewskiego. Był on dziwnie nie muzykalny; mawiał, że obojętne mu, czy gra ktoś cudownie na fortepianie czy też skrzypią drzwi. A jednak był dziwnie ekspresyjny, o bardzo obszernej skali głosu. Wskazuje to na to, że musiał chyba usilnie w tym względzie pracować w młodości.

Wiemy wszyscy, że systematyczna nauka, jak przyrodzone te właściwości i uzdolnienia prowadzić mają na szczyty władania słowem. Zbiór zasad i reguł, które mają wskazywać drogi do rozwoju uzdolnienia naturalnego, nazywa się retoryką. U nas w Polsce ta gałąź nauki miała osobliwe znaczenie.

„*Diva eloquentia*“, to był cel, do którego miało prowadzić młodzieńca rozłożone na długi szereg lat wykształcenie szkolne. Historja szkolnictwa i wychowania w Polsce wykazuje, jakie to podkreślanie retoryki w edukacji miało świetliste i jakie ciemne strony.

Opierając się na starożytnych retorach, uznawano trzy rodzaje wymowy, wymowę naradną (*genus deliberativum*), sądową (*genus judiciale*) i przekonującą (*genus demonstrativum*). To podział wzięty z retoryki pogańskiej. Chrześcijańska retoryka rozróżniała dwa wielkie rodzaje wymowy, *eloquentia profana* i *eloquentia sacra*, świecka i kościelna.

Ale jak logika jest pierwszym stopniem do wyższych wzgórz filozofji i wszelkiej wogóle naukowej, rozumowej pracy, jak znowu filozofja jest *ancilla theologiae*, tak *eloquentia profana* jest podnóżkiem wymowy kościelnej. Kaznodzieja musi przeto znać zasady i prawidła i reguły retoryki, by je owocnie zastosować do kaznodziejstwa.

Wprawdzie nie każdy retor będzie tem samem znakomitym kaznodzieją. Tłumaczy się to głównie różnicą, jaka zachodzi między mową świeckich a charakterem kazania jako Słowa Bożego. Być też może, że przy szczególniejszem uzdolnieniu ten lub ów przyszły mówca intuicyjnie albo samorzutnie, bez osobnej nauki, przyswaja sobie to, co innemu wpajają prawidła retoryki. Ale to są drogi nadzwyczajne; zwykłe prowadzą na szczyty doskonałości przez grudę i krzemienie pracy przygotowawczej. W zwykłych warunkach musi nauka, która uczy jasności wyrażenia, poprawności stylu, czystości języka, przezroczystej struktury, siły argumentowania, żywości przedstawienia, sprawności w używaniu figur retorycznych, pewnego rytmu w szyku słów, ta retoryka, — powiadam — musi być w rozwoju kaznodziei pierwszym stopniem, — *gradus ad Parnassum* — na ten Parnas, na którym będzie obcował z wielkiemi duchami Skargów, Kaysiewiczów, Prusinowskich, Stablewskich.

* * *

Nie w ścisłym związku logicznym, jakoby to był jedyny i wyłączny wniosek z przesłanki, lecz raczej już jako obrok duchowny wyłaniają się z tego, co powiedziałem wyżej, następujące dwa *corollaria*.

I. Nie szczędź pracy!

Pani naszego serca, *diva eloquentia,* Boska wymowa, godna naprawdę, aby ją zdobywać choćby z wielkim trudem.

Nie szczędźmy więc pracy najpierw dla poznania zasad retoryki wogóle. Jeżeli mamy nietylko sposobność, lecz obowiązek, by zapomocą słowa budować Panu świątynie i ołtarze w duszach ludzkich, to jakich nie należy użyć starań, abyśmy byli budowniczymi sprawnymi i aby żywe słowo stało się w naszych ustach rzeczywiście narządem, jakiego się domaga potrzeba, toporem, młotem, mieczem, kielnią, albo też pędzlem mistrzowskim lub rylcem rzeźbiarskim. Słowo to instrument, którym musimy w swoim zawodzie operować codziennie. Nie każdy dzień będzie naszym egzaminatorem w teologji moralnej lub dogmatycznej. Ale każdy prawie dzień nastręczy nam sposobność *militandi veritati.* Starajmy się tedy zbadać tajemnice retoryki świeckiej i zaprzążmy je do rydwanu wymowy kościelnej, do służby ambony.

Nauczywszy się zaś władać należycie słowem jako narzędziem, nie zaniedbujmy pracy nad gromadzeniem i utwierdzaniem w duszy materjału, z którego mamy budować czy rzeźbić Panu świątynie, ołtarze, posągi, obrazy. Jakże łatwą i naturalną jest rzeczą, że kaznodziei wietrzeją z głowy nauki teologiczne, których całokształt dość pobieżny tylko zdobył w seminarjum duchownem, jeżeli nie pracuje nad ich odświeżaniem. „Wargi kapłana strzec będą nauki!“ Treść tego słowa Ducha Św. będzie przedmiotem osobnego referatu. Dla mnie to jedynie ważną jest rzeczą, by stwierdzić, że o ile kazania naszych kaznodziejów, nawet kapłanów zdolnych w innych kierunkach pracy umysłowej, jałowieją i robią się zbiorem pustych prawie dźwięków, bez głębszej treści teologicznej, to przyczyną prawie wyłączną jest zarzucenie studjów Bożej umiejętności. Czy może człowieka myślącego, zwłaszcza naszego inteligenta, zająć głębiej kazanie jakąś prawdą religijną, jeżeli kaznodzieja czerpie materjał z płytkich podręczników kaznodziejskich, a nigdy nie posiłkuje się rzetelną dogmatyką lub teologją moralną!

Ale i uczony nawet kapłan, a cóż dopiero przeciętny, nie może i nie powinien iść na ambonę bez szczegółowego przygotowania.

Cobym ja dał za to, aby wytępić u księży ten niegodziwy frazes: Ja się nie potrzebuję przygotowywać, mówię bez przygotowania. Kto sypie takiemi przechwałkami, ten albo blaguje czyli kłamie, albo też wystawia sobie świadectwo wielkiej niesumienności. Albowiem nie jest to rzeczą sumienną rzucać na flukta swady, która zawodzi, spraw tak świętych, jakiemi są cele Słowa Bożego.

O przygotowaniu kazań, jego ważności i sposobach będzie osobny, szczegółowy referat. Mnie tedy niech będzie tylko wolno podkreślić, że sumienny szafarz Słowa Bożego, chcąc mu zapewnić jak największą skuteczność, dużo czasu poświęci obmyśleniu treści zarówno jak formy swoich występów kaznodziejskich. Posłuchajmy, jak na temat tej konieczności naszych czasów przemawia do sumień kapłańskich pisarz duchowny Huonder w swojej pięknej książeczce: U stóp Mistrza.

„Czasy nasze — pisze on — ze swym kierunkiem nawskroś realistycznym, ze swem powszechnem wykształceniem mas, ze swą prasą, stowarzyszeniami i t. d. wymagają od kaznodziejstwa naszego o wiele więcej niż kiedykolwiek. To nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Nawet ludzie zwyczajni i robotnicy są nieraz niezwykle oczytani i obyci, bo się dużo nasłuchali. A cóż dopiero inteligencja! Spodziewa się ona słusznie, że w kościele także usłyszy coś lepszego, a nietylko stare, zużyte, zblakłe komunały i nic nie mówiące deklamacje. Na świecie ją nauczają i oświecają wyborni mówcy gruntownie a jednak przystępnie, o kwestjach gospodarczych, przyrodniczych, historycznych, jakże jej można brać za złe, że życzy sobie, żeby jej z ambony podawano wiedzę religijną i pomagano do lepszego jej zrozumienia! Starajże się tedy, proboszczu drogi, rozszerzać zakres i zasób swojej wiedzy, żebyś mógł wyjmować naprawdę dobre i stare rzeczy ze skarbca swego. Jakimże wspaniałym uniwersytetem ludowym mogłaby być ambona, gdyby duchowieństwo wszędzie stawiało ją naprawdę wysoko“.

Tak, ale do tego na pierwszem miejscu potrzebne sumienne przygotowanie.

Mądrze i z przebłyskiem dowcipu mówił o sobie taki olbrzym wymowy jak Lacordaire: „Nie umiem improwizować, jeżeli nie jestem dobrze przygotowany“. A Fénelon, orzeł wśród kaznodziejów francuskich, błagany, aby wypowiedział kilka słów przy poświęceniu kaplicy, o co nie był poprzednio proszony, odpowiedział: „Poświęcić kaplicę mógłbym bez przygotowania, przemowy wygłosić bez przygotowania nie mogę“.

II. Drugie *corollarium* streściłbym w słowach: Korzystaj umiejętnie z wzorów! To ważny środek kształcenia się na drodze kaznodziejstwa.

Ideałem byłoby, aby kaznodzieje zaprawiali się do swojego urzędu na takich wzorach, jakiemi są Ojcowie Kościoła, mianowicie św. Augustyn i św. Jan Złotousty, którego Leon XIII obrał na patrona kaznodziejów. Wszakżeż ich homilje świecą

po wszystkie wieki jako pochodnie tym, którzy chcą się rzeczywiście kształcić w stylowem głoszeniu Słowa Bożego. Ale jako człowiek trzeźwy wiem, że ideał ideałem, a życie jednak zniewala do oglądania się za wygodnym podręcznikiem, podającym gotowy do użycia materjał homiletyczny.

Jak używać podręczników?

W zagadnieniu tem należałoby unikać dwóch ekstremów, to znaczy niewolniczego powtarzania i zupełnej abstynencji.

Dość zwykły to grzech w działaniu kaznodziejskiem, ślepe naśladowanie, czerpanie z gotowego materjału, bez nadania najmniejszej cechy własnej myśli. A jakkolwiek nie śmiałbym tego nazwać wprost grzechem teologicznym, to jednak musiałbym napiętnować takie postępowanie jako wykroczenie przeciwko świętej ambicji kaznodziejskiej. „Uczenie się kazania — pisze gdzieś nasz homileta ks. W. Kosiński — z podręcznika, i to jeszcze podrzędnego gatunku, jest zaprzeczeniem ideału i powołania kaznodziejskiego“. Konieczną jest przecież pewna, choć niewielka miara własnej, indywidualnej twórczości.

Gdy jednak komu bardzo trudno zdobyć się na oryginalność i z własnej duszy zaczerpnąć cokolwiek na kordjał dla dusz bliźnich, natenczas czyż nie jest rzeczą stanowczo lepszą oprzeć się o dobry wzór, i obcą myślą pożywić własną ubogą koncepcję, aniżeli wydobywać pustkę z pustki własnej duszy.

I tu potępiłbym przesadne twierdzenie, jakoby było niewłaściwą rzeczą czerpać wzory z dobrych kazań gotowych i jakoby *sub gravi* był mówca zobowiązany do dawania własnych, oryginalnych pomysłów. Dla słuchacza będzie przecież niewątpliwie większy pożytek, gdy usłyszy rzecz dobrą zreprodukowaną, przez inny umysł przemyślaną, aniżeli gdyby miał wysłuchiwać mąk rodzenia, *effectu non secuto*. Bardzo piękną a subtelną wskazówkę w tym względzie dają mądre słowa św. Hieronima: „*Malo aliena verecunde proferre quam sua impudenter ingerere*“.

Jak zwykle, tak i tu najwłaściwsza droga to złoty środek. Należy wysoko cenić dobre wzory, rozczytywać się w nich, przerabiać myślą, przeprowadzać wszystko *in succum et sanguinem* własnego ducha. Tworzyć nie *collectanea* kwiatów, to dobre dla herbarza, lecz na cudzych tworach wzorować własną wyobraźnię, kształcić język, rozwijać pomysłowość, oto rzecz polecenia godna!

To co powiedziałem, nie wyczerpuje oczywiście tak rozległego tematu, jak naprawa ambony i naszego kaznodziejstwa.

Ale może, jak mniemam, w należytem świetle postawić pobudki tych, co urządzali kurs homiletyczny, mianowicie ich pragnienie, aby kursy takie, powtarzane częściej, popchnęły jak gdzieindziej sprawę reformy kaznodziejstwa na nowe tory. Chodziło o to, aby zwrócić uwagę na doniosłość sprawy, podnieść, że się tak wyrażę, cenę słowa, zaostrzyć sumienie tych, co mają niem władać jako narzędziem służby Bożej, zapalić wolę do spełnienia obowiązku, nakłonić do homiletycznych studjów. Wcale poważną obciąża się winą, kto nie przywiązuje należytej wagi do tego *ministerium verbi,* spełnia je nie owocnie, lekkomyślnie, nieraz wprost ku zgorszeniu wiernych. Wszakżeż sobór trydencki postawił zasadę: *Praedicatio episcoporum munus praecipuum!* — a nietylko *episcoporum,* lecz także tych wszystkich, którzy są ich pomocnikami.

Nie można *studium eloquentiae* zarzucać po wyjściu z seminarjum, przeciwnie w szeregu pierwszych lat kapłaństwa uważać je należy jako szczególniejszy przedmiot staranności kapłańskiej, choćby z tego powodu, że seminarjum w tej gałęzi wiedzy pasterskiej może położyć zaledwie fundamenty. Różnie bywa po różnych diecezjach; w niektórych może dzieje się pod tym względem bardzo dobrze. U nas w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej, gdzie studjum teologji rozbite jest na dwa seminarja, pozostaje na naukę homiletyki ogromnie krótka przestrzeń czasu, to jest zaledwie 7 do 8 miesięcy. Co może zdziałać najznakomitszy profesor homiletyki, zapalony miłośnik kaznodziejstwa, najgorętszy mistrz słowa, skoro na wpojenie wymowy adeptom sztuki kaznodziejskiej rozporządza tak niepomiernie krótkim czasem! Kto czytał u nas całego Skargę? Kto zna późniejsze wzory słowa kaznodziejskiego, przedewszystkiem Kaysiewicza, nie mówiąc już nic o Stablewskim? Niech mi przeto będzie wolno w imieniu tych wszystkich, którym dobro polskiej ambony leży na sercu, zanieść do obecnego tu Najprzewielebniejszego ks. Arcypasterza i Prymasa uniżoną prośbę, aby już w seminarjum teoretycznem odbywało się chociaż jedno *publicum* z wymowy kościelnej dla wszystkich kleryków, połączone z czytaniem wzorów, memorowaniem wybitnych ustępów z dzieł naszych wielkich mówców, z tem wszystkiem, co może w młodym kleryku pobudzić szlachetne aspiracje na polu kaznodziejstwa [1]).

[1]) Mowa ta wygłoszona była w roku 1926. Od tego czasu zaszły radykalne zmiany w organizacji seminarjów duchownych archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej. Z tą przemianą połączono także inny rozkład homile-

Gdyby Najdostojniejsi Ks. Ks. Biskupi zechcieli zwrócić w tym kierunku swoją pasterską troskliwość, zapewniając już klerykom słuchanie prawdziwie dobrych, wzorowych kazań, to jakżeż skutecznie wprowadziliby młodzież naszą duchowną przynajmniej do przedsionka tego chramu, któremu na imię: umiłowanie estetyki Słowa Bożego. Dobrzy kaznodzieje przy katedrach, tam gdzie zaprawiać się mają do sztuki kaznodziejskiej klerycy, to sprawa równie prawie ważna jak wybór nauczyciela homiletyki! Gdyby na ambonach katedralnych stawali nie analfabeci w sztuce kaznodziejskiej, lecz mistrze słowa, albo przynajmniej tacy kapłani, którzy mają ambicję, by głosić Słowo Boże według wszelkich prawideł retoryki, estetyki i homiletyki, gdyby przyszli kaznodzieje już w przedszkolu swojego życia duszpasterskiego mieli sposobność zasmakować w szlachetnej formie i piękności języka, gdyby nauczyli się czuwać nad jego czystością i nie kazili go niepotrzebnemi naleciałościami, gdyby nabrali przekonania, że mowę szpecą tautologje bezmyślne i że żaden szanujący się mówca nie powinien sobie pozwalać na koślawienie szyku słów i zdań jaskrawemi anakolutami, coby to była za zdobycz dla kaznodziejstwa! A ileżby zdrowej ambicji kaznodziejskiej mogli wnieść nasi Arcypasterze w szeregi duchowieństwa słowem zachęty, zainteresowania i odpowiedniemi powołaniami talentów krasomówczych na właściwe stanowiska. Tych ludzkich, ale przecież godziwych środków nie wyzyskuje się prawie wcale.

* * *

A przecież godzi się użyć wszystkich sposobów, aby w szeregach kaznodziejów, powołanych *ad militandum veritati,* stawali nie ciury, lecz sama elita. Wspomniałem na wstępie o średnim stanie kaznodziejstwa. Niewątpliwie bogactwem narodu są magnaci i ich majątek. Takiem bogactwem kaznodziejstwa są wielcy mówcy. Ale dobrobyt narodu w znacznej mierze zawisł od tego, aby stan średni był zasobny, zdrowy i silny. Podobnie w kaznodziejstwie. Natomiast nieszczęściem każdego społeczeństwa jest liczny proletarjat, ta ruchoma kupa suchego piasku, który wicher namiętności miota na wszystkie strony. Proletarjatem w kaznodziejstwie to ci, co żywią się odpadkami, kazaniami z najpośledniejszych podręczników, ci co nic nie

---

tyki, tak że mniej więcej w myśl powyższych wywodów przyznano homiletyce kilka godzin tygodniowo zaraz od pierwszego kursu.

pracują i nie wytwarzają i nic do wspólnego skarbca nie dorzucają. Temu proletarjatowi wypowiedzmy nieubłaganą walkę! Niechaj to będzie hasłem tego kursu homiletycznego!

Pierwszy ten kurs będzie z natury rzeczy słaby i niedostateczny. Ale będzie on, da Bóg, pierwszym w szeregu takich, na których zabłysną świetlane myśli, dotyczące prac na przyszłość. Przyszłe kursy wysuną już może cały łańcuch pożytecznych tematów. Jakżeż domagają się omówienia na osobnych kursach takie sprawy, jak ambona a duszpasterstwo, zwłaszcza wielkomiejskie, ambona a wychowanie, ambona a kwestja seksualna, ambona a misje! Co za śliczne perspektywy na przyszłość!

Aby coś przynajmniej z tych barwnych obrazów stało się rzeczywistością, niechaj każdy z czcigodnych uczestników kursu w jutrzejszej Mszy św. zaniesie modlitwę do Boga, gdy będzie mówił te słowa: „*Ut Evangelium Tuum digne valeam annuntiare*".

Ks. Józef Kłos.

Poznań.

Obrazki z życia ambony.

„Jak po maśle".

Homiletyka — wiadomo — usilnie radzi, żeby każde, o ile możności, kazanie było *in extenso* — zwłaszcza w pierwszych latach pracy kaznodziejskiej — napisane, wyuczone napamięć i dosłownie podług tego wygłoszone. Wyjątki od tej zasady nie są niedopuszczalne, jeżeli zachodzą wyjątkowe zgoła takich wyjątków przyczyny, po stronie kaznodziei zwłaszcza, i po stronie zewnętrznych okoliczności. Wyjątki, jak wyjątki, do rzadkości należeć zawsze będą. Dlatego w wielu diecezjach Ks. Ks. Dziekani w czasie wizytacyj kanonicznych, a niemniej także sami Ks. Ks. Biskupi szczególnie od młodszych kaznodziejów domagają się przedłożenia sobie zeszytów, w którychby się znajdowały głoszone przez nich kazania.

W czasie jednej z takich wizytacyj — o geografję i nazwiska mniejsza — wizytator w odpowiedzi na pytanie gdzie są spisane kazania, które Ks. Dobrodziej głosi, usłyszał takie zdanie: „O, ja już od dość dawna swoich kazań nie przygotowuję pisemnie, bo to u mnie już idzie jak po maśle!" Wizytator z filuternem spojrzeniem w kierunku interesowanego odpalił: „Hm! Masło, to dobra rzecz, byle nie było — stare!"

O jednę literkę.

Doktór Kościoła po niemiecku nazywa się *„Kirchenlehrer“*. Jeżeli w miejsce litery „h“ wstawi się samogłoskę „e“, wówczas otrzyma się złożony rzeczownik tego samego brzmienia, mianowicie *Kirchenleerer*, ale zgoła odmiennego znaczenia, gdyż słowo to oznacza wtedy kogoś, co sprawia, że się kościół opróżnia z wiernych. Księża niemieccy w przystępie humoru, i pragnąc się ćwiczyć w cnocie, zwanej *„eutrapelia“* (z akcentem na „i“, więc nie *„eutrapélja“)* czasem apostrofują się wzajemnie tem *„Kirchenleerer“*, a czynią to zwłaszcza wtedy, gdy konfratrowi, znanemu z tego, że wierni uciekają z jego kazań zanadto długich, chcąc dać do zrozumienia, żeby też raczył trzymać się złotej reguły homiletycznej, według której kazanie nie powinno trwać dłużej nad pół godziny.

Sposobów zasłużenia sobie na przydomek opróżniacza kościołów jest oczywiście jeszcze więcej aniżeli przedłużanie kazania ponad miarę...

„Terra saepe supervenientem bibens imbrem“ (Z listu do Żydów).

Ilekroć czytam te przecudne słowa Apostoła, zawsze staje mi przed oczyma mądry, roztropny, świątobliwy, doświadczony i swoich parafjan prawdziwie miłujący proboszcz-kaznodzieja, regularnie, systematycznie i celowo pasący *gregem Dominicum verbo salutis.* I przypominają mi się słowa, gdzieś i kiedyś czytane, że takie spokojne, świadome celów, wytrwałe, planowe, obmyślane, mądre i roztropne, a przedewszystkiem *Sancti Spiritus unctione* zaprawione sprawowanie Słowa Bożego przez proboszcza sto razy więcej warte, aniżeli nie wiedzieć jak „piękne“, porywające, podniosłe i „natchnione“ kazania, choćby niewiem jakich złotoustych i z „Bożej łaski“ kaznodziejów okolicznościowych, nadzwyczajnych, odpustowych, rekolekcyjnych, a nawet misyjnych, zwłaszcza zaś „narodowo-patrjotycznych“. Nikt nie myśli — i ja też nie myślę — umniejszać wartości, pożytku, a nawet, *suppositis supponendis*, konieczności dobrych rekolekcyj i misyj ludowych. Ale to pewna, że rzetelny, trwały, podstawowy i zasadniczy pożytek sprawie Bożej przynoszą jedynie te kazania, które z Apostołem można przyrównać z „deszczem często przychodzącym, żeby go piła — jak się wspaniale wyraża Apostoł — ziemia serc ludzkich“. Wszystko inne, to w mniejszej lub większej mierze nawałnice,

gwałtowne ulewy, może godne podziwu jako piękne zjawisko przyrody (wrodzonego uzdolnienia krasomówczego) lub sztuki (biegłości w mowie, uczoności w Piśmiech, oczytania i t. p.); wszystko inne, powiadam, to mniej lub więcej wspaniałe wyładowanie nagromadzonej energji elektrycznej, wśród potężnych grzmotów, błyskawic i piorunów, wszystko inne wywołać może dreszcze nadzwyczajnych przeżyć i dogłębnych wstrząsów, ale zawsze to tylko burzą jest, która jak szybko przyszła, tak szybko przemija, a gdy przeminie, to każdy z uczuciem ulgi powiada sobie: chwała Bogu, że już po wszystkiem!

Ziemia, nietylko ta, która rodzi żywność synom ludzkim, ale także ta, która jest glebą serca ludzkiego, spragniona jest, iżby mogła *bibere saepe supervenientem imbrem,* a tego nikt tak dobrze dostarczyć jej nie może, jak *ordinarium munus praedicandi* duszpasterza.

Salvo judicio meliore!

„Poszło w pięty“.

Nieraz zdarza się coś takiego w życiu parafji, że trudno się dziwić, jeżeli powołane czynniki obmyślają jakieś nadzwyczajne środki. Do takich środków należy także to, co św. Paweł nazwał *„venire in virga“* (trzeba jednak pamiętać, że Apostoł zagroził co prawda, iż gotów przyjść *„in virga“,* nie czytamy jednak nigdzie, żeby naprawdę chwycić miał za „kij“). Oczywiście, ta *„virga“* u nas może przybrać jedynie kształt ostrzejszego wystąpienia w słowach.

Otóż tu i ówdzie ktoś bardziej krewki, gdy się zabiera do takiej egzekucji słownej, zamiar ten ubiera we formę taką: „Ja im pokażę, ja ich nauczę, oni mię popamiętają, ja im to powiem tak, że im to pójdzie w pięty!“ Kto tak mówi, wie, że posługuje się przenośnią, nie wie jednak, że bardzo często rzeczywisty skutek bardzo mało będzie miał w sobie przenośni, ale zamieni się w nagą rzeczywistość: to, co miało „pójść w pięty“, w rzeczy samej poszło potem w pięty (bez cudzysłowa), bo słuchacze, jeżeli w czasie samego przemówienia cichaczem i chyłkiem nie powynosili się z pod ambony, to po przemówieniu w tem szybszy ruch wprawili swoje pięty. Jakże to bowiem uczy Apostoł, gdy uczniowi swojemu przyznaje prawo *increpandi?* Oto dodaje on pospiesznie i skwapliwie: *increpa,* ale *in omni patientia et doctrina.* Znaczy to, że nasze

„łajanie“ — jeżeli już zajdzie konieczna potrzeba — nigdy nie powinno być zaprawione przysmakiem osobistego podrażnienia i zagniewania, i nigdy nie powinno zdradzać, iżeśmy sobie postanowili przemawiać tak, żeby to ludziom poszło w „pięty“, lecz zawsze winno się pamiętać o potrzebie zachowania onej *patientia et doctrina,* a te nie idą w pięty, lecz w serca.

Ks. I. K.

MATERJAŁY I SZKICE.

Rocznica poświęcenia kościoła.

Liturgja mszalna jako źródło myśli homiletycznych.

Myśl przewodnia: Kościół katolicki jest mieszkaniem Boga i tronem miłosierdzia Bożego na ziemi.

„Domowi Twemu przystoi cześć święta, o Panie, po wszystkie czasy“. (Ps. 92, 5).

A. W Jerozolimie dzień radości i uniesienia. Po siedmioletniej uciążliwej i żmudnej pracy, stanęła na wzgórzu Morja przepyszna świątynia, wzniesiona przez króla Salomona. Lud ze wszystkich zakątków Palestyny zgromadził się licznie, by być świadkiem uroczystej chwili, kiedy mury i przestrzenie zostały odłączone od użytku ziemskiego, a oddane na własność Boga. Spuszcza się Pan w postaci obłoku na arkę przymierza, lud przysięga i ślubuje wieczną służbę Bogu. (I Kr. 29, 17, 18 *Introit*).

Wspaniałą była świątynia Salomońska, lecz była tylko przedobrażeniem świątyń nowozakonnych, tych prawdziwych domów, mieszkań Bożych, tych tronów zmiłowania Bożego. Dzisiaj obchodzimy rocznicę tej chwili, kiedy te oto martwe mury stały się świętemi, stały się świątynią, domem Boga prawdziwego. Zastanowić się mamy nad tą niewymowną tajemnicą, jak Bóg nieskończony, którego niebo i ziemia objąć nie może, w tych murach jakby rozbił swój namiot i postawił tron swego miłosierdzia.

B. I. Każdy kościół katolicki jest prawdziwie mieszkaniem, domem Boga.

1. Ongiś Chrystus miłosierny wstąpił wbrew oczekiwaniom rzesz do domu grzesznego celnika Zacheusza w Jerycho; z mieszkania niesprawiedliwego krzywdziciela uczynił dom Boży,

z duszy obarczonej krzywdą ludzką — mieszkanie Boga. (Łk. 19, 1-10 — *Ewangelja*).

Do tych murów zstąpił przed laty Chrystus w chwili poświęcenia (konsekracji), kiedy przez modlitwę, słowo Boże, zbawczy znak krzyża św., pokropienie wodą święconą, okadzenie pobłogosławionem kadzidłem i namaszczenie Krzyżmem św., spuściła się niewidzialna dla oka ludzkiego uświęcająca moc Boża, na to miejsce. Następnie przystąpił do nowopoświęconego ołtarza kapłan i sprowadził słowami konsekracji z niebios, nie obłok, ale samego Boga, Chrystusa, który ukryty pod postacią chleba, uczynił to miejsce świętem, nietykalnem (przybytkiem Bożym). To miejsce jest od Boga uczynione, niewymowna tajemnica, niema na niem zmazy. (*Graduał*).

2. Tak uczynił Chrystus z tych murów mieszkanie Boże trwałe, nieustające, miasto święte, nowe Jeruzalem, przybytek Boga z ludźmi — jak to pięknie kreśli św. Jan w dzisiejszej świątecznej Lekcji. („W dni owe widziałem miasto święte, nowe Jeruzalem, zstępujące z nieba od Boga, ubrane jako oblubienica, wystrojona dla męża swego. I słyszałem głos silny ze stolicy, który mówił: Oto przybytek Boga z ludźmi. On będzie mieszkał z nimi, a oni będą ludem Jego, a On, sam Bóg, z nimi będzie Bogiem ich. I Bóg otrze wszelką łzę z ich oczu i śmierci już nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani boleści, bo rzeczy pierwsze przeminęły“. I rzekł ten, który siedział na stolicy: „Oto ja wszystkie rzeczy odnawiam“. (Obj. 21,2-5).

Tu zamieszkał na stałe w Najświętszym Sakramencie Ołtarza Bóg niewidzialny, w całym swym potężnym Majestacie, choć ukrywa przed nami swą moc i chwałę w nikłej osłonie chleba. Tak, „straszne jest to miejsce, to jest zaprawdę dom Boży, przeto ma się nazywać przybytkiem Boga“. (I Mojż. 28, 17 *Introit*). Tu eucharystycznego „Boga bezustanku chóry Aniołów otaczają“ (*Graduał*), oddając Mu hołd i uwielbienie, nucąc bezustannie potrójne „Święty“. Przeto też to miejsce winno być dla nas czcigodne, święte, bez zmazy, ozdobione, ubrane. (*Lekcja, Graduał*). Winniśmy dbać o ozdobę, upiększenie kościoła.

3. Kościół, świątynia — to przedsmak nieba, przedobrażenie świątyni niebieskiej, górnego Jeruzalem. (*Lekcja*).

Ścisły, bliski stosunek Boga do ludu swego; tu pozwala nam uczestniczyć w niezgłębionych tajemnicach, jakie się na ołtarzu dzieją. Jak Chrystus po prawicy Ojca żyje zawsze, aby się wstawiał za nami (Żyd. 7, 25), jako arcykapłan święty, niewinny, niepokalany, odłączony od grzeszników, wyższy nad

niebiosa (Żyd, 7, 26), pokazując Ojcu jako niebieski Arcykapłan swe uwielbione ciało, swe blizny na rękach, nogach i boku, stojący tak zawsze jako pośrednik między ścisłą Bożą sprawiedliwością, a naszą ludzką przewiną — tak tu na ołtarzu przedstawia się i ofiaruje sam Chrystus jako Arcykapłan według obrządku Melchizedecha, pokorny, ubożuchny, umartwiony, wyniszczony, składający bezustanku zadośćuczynienie za ludzi, by w nich utworzyć i podtrzymać świątynię Bożą (życie łaski poświęcającej).

Tu, jak ongiś po drabinie, którą oglądał Jakób, zstępują i wstępują Aniołowie, w świątyniach katolickich, czynią z tego miejsca bramę do nieba. Straszne to miejsce! Przeto „paść na twarz przed przybytkiem świętym“ (Ps. 137, 2) i wołać z psalmistą: „Domowi Twemu przystoi cześć święta, o Panie, po wszystkie czasy“ (Ps. 92, 5).

II. Każdy kościół katolicki jest prawdziwym tronem miłosierdzia Bożego. Mieszkający tu prawdziwie, istotnie i rzeczywiście Bóg:

1) Przyjmuje hołdy, błagania, dziękczynienia; oto „przybytek Boga z ludźmi, On będzie mieszkał z nimi“ (*Lekcja*); sam zapewnia: „Dom mój domem modlitwy zwan będzie, w nim każdy proszący otrzyma, szukający znajdzie, pukającemu otworzę“. (Mat. 21, 13, *Communio*). To też winniśmy „tęsknić do przedsieni Pańskich“ (Ps. 83, 2 *Introit*), „paść na twarzy przed świętym przybytkiem i wychwalać Imię Pana“ (Ps. 137, 2 *Graduał*), prosić i błagać usilnie, by się spełniły obietnice miłosiernego Boga. (Boże! Ty rokrocznie dzień poświęcenia tego świętego przybytku swego odnawiasz i w świętych tajemnicach swoich w zdrowiu uczestniczyć nam pozwalasz, wysłuchaj błagania ludu Twego i synów, niech każdy, kto do tej świątyni wchodzi, by o Twe dobrodziejstwa Cię błagać, z wysłuchania wszystkich próśb swoich się raduje“ — *Kollekta*).

2) Wszystkie rzeczy odnawia (*Lekcja*); tu czyni z synów gniewu dzieci upodobania, lud swój; — tu przez chrzest i pokutę usprawiedliwia jak ongiś Zacheusza (*Ewang.*), wlewa nowe nadnaturalne życie, podtrzymując je przez słowo Boże (kazania, misje, rekolekcje, i inne praktyki religijne), przez Komunję św. („dziś wypada mi w domu twoim zamieszkać“ (*Ewang.*), przez mocne postanowienie poprawy życia („Panie, oto połowę dóbr moich daję ubogim, a jeślim kogo w czem podstępnie skrzywdził, oddaję w czwórnasób“ — *Ewang.*), — przez sakramentalja oto „tak, iż odnowieni na duchu, możemy się stać godny-

mi przyjęcia do górnego Jeruzalem". („Wysłuchaj łaskawie, prosimy Panie, prośby naszej i spraw — niechaj w obrębie tej świątyni, której poświęcenia rocznicę uroczyście obchodzimy, zupełnem i nieograniczonem oddaniem ciała i duszy Tobie się podobamy — byśmy składając Ci obecnie ofiarne hołdy, za Twą pomocą do wiecznej nagrody dojść zasłużyli" — *Sekreta*).

3) „Ociera łzy z oczu", usuwa śmierć (wieczną), smutek, krzyk, boleść, wszak wszystko odnowione łaską Bożą.

Tu cieszy w krzyżach, wskazując na cierpliwego w cierpieniach i męce Chrystusa, tu uczy pojmować życie jako drogę krzyżową, głosi to każdy krucyfiks na ścianie, stacje Drogi Krzyżowej. („Kto nie nosi krzyża swego i nie naśladuje mnie, nie może być uczniem moim". Łuk. 14, 27. — „Czyż nie trzeba było, aby Chrystus to wycierpiał i tak wszedł do chwały swojej?" Łuk. 24, 26). Tu cieszy w opuszczeniu, w zapomnieniu. On tu opuszczony, zapomniany, zapoznawany, cieszy po stracie drogich osób i ociera łzy boleści uroczystem zapewnieniem: „Jam jest zmartwychwstanie i życie, kto wierzy we mnie, nawet gdyby umarł, ożyje, a każdy kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki". (Jan 11, 25-26). „Nadchodzi godzina — kiedy to umarli usłyszą głos Syna Bożego, a ci co posłyszą, żyć będą". (Jan 6, 25). Zaiste to dom Boży i brama do nieba.

Słusznie powiada psalmista: „Domowi Twemu przystoi cześć święta, o Panie, po wszystkie czasy".

C. Mieszkanie Boże, kościół Boży, to nietylko te murowane, poświęcone obecnością Boga zaszczycone budowle; — świątynią Bożą jest każda dusza, do której zstąpiła świętość, łaska, Bóg w chwili chrztu, świątynia Boża, to widzialna społeczność wszystkich wiernych chrześcijan, wszystkich żywych i wybranych dusz, która się pod tchnieniem Ducha Bożego coraz to więcej po ziemi rozszerza i ludzkość uświęca. Dzisiaj nam prosić należy, byśmy w świątyniach, w domach Bożych, znaleźli zawsze łaski i miłosierdzie, by nasza dusza i inne dusze pozostały zawsze świątynią Boga bez zmazy, by się stały mieszkaniem Boga przez przyjęcie prawdy i łaski, — prosić zaś pięknemi, rzewnemi słowami modlitwy pokomunijnej Kościoła: „Boże, który z żywych i wybranych kamieni Majestatowi Twemu wieczny gotujesz przybytek, dopomóż błagającemu Cię ludowi Twemu, aby się Kościół Twój duchownym wzrostem tak wewnątrz rozwijał, jak się nazewnątrz rozszerza".

Cieszyn. *Ks. R. T.*

KRONIKA.

Stany Zjednoczone A. P. — O lepsze kaznodziejstwo. Pod tym nagłówkiem umieścił amerykański „Przegląd Katolicki“ (Nr. 8 (sierp.) 1928 r.) następującą notatkę: „Niedawno ks. arcyb. Mc Nicholas z Cincinnati, w przemówieniu do mężczyzn, którzy brali udział w rekolekcjach, oświadczył, iż kaznodziejstwo w Stanach Zjednoczonych spadło na niski poziom. „Jesteśmy — oto słowa ks. arcybiskupa — zajęci zbyt wielu materjalnemi sprawami. Nie poczuwamy się do obowiązku nauczania zapomocą głoszonego Słowa Bożego tych, co są członkami Kościoła jak i tych, którzy są poza Kościołem, których możnaby zdobywać słowami Prawdy. Nie służymy w całej pełni przez kazania tym, których można sprowadzić z drogi grzechu, jak i tym, których należałoby prowadzić drogą cnoty... Nienaturalny duch czasu, szał za rozrywkami i używaniem świata, nieustanna gonitwa za zdobyczami materjalnemi, to wszystko stanowi bardzo poważną przeszkodę do poważnej myśli i zastanawiania się, co jest koniecznie potrzebne do owocnego kaznodziejstwa i korzystnego słuchania Słowa Bożego“.

Katolicka prasa świecka, nie wyłączając i polskiej, skwapliwie pochwyciła ten zarzut i zwala winę za rozluźnienie się obyczajów, za mechaniczną spowiedź, mechaniczną modlitwę, na obniżenie się poziomu kazań w kościołach katolickich. Niestety, „nienaturalny duch czasu, szał za rozrywkami i użyciem świata, nieustanna gonitwa za zdobyczami materjalnemi“ — udziela się do pewnego stopnia i stanowi duchownemu, z konieczności rzeczy zajętemu „zbyt wielu materjalnemi sprawami“. Skutkiem tego istotnie kaznodziejstwo we wielu kościołach nie odpowiada wielkiemu swemu zadaniu. Zbyt mało przejmujemy się świętością Słowa Bożego, zbyt pobieżnie przygotowujemy się na głoszenie nauki Chrystusowej w spoganiałych czasach dzisiejszych, niegodne nieraz usta sprawują sakramentalny niemal urząd kaznodziejski. Uznanie wielkie należy się zatem arcybiskupowi z Cincinnati, iż śmiało wskazuje na zło, na obniżenie się kaznodziejstwa. Tylko świętość życia stanu duchownego i żarliwość w głoszeniu Słowa Bożego odnowi obyczaje chrześcijańskie“.

New Jork. Polityka na ambonie. Wypadek odnosi się do zboru baptystów w Nowym Jorku. Pastor, dr. John Roach Straton zaatakował ostro z ambony kandydaturę katolika Smitha na prezydenta St. Zjedn., twierdząc, że byłby on sprzymierzeńcem sił reakcyjnych, wszelkiej niemoralności, grzechów i występków w kraju, gdyż jak dotąd, był on stałym przeciwnikiem każdej słusznej reformy, wrogiem postępu moralnego i prawdziwej mądrości politycznej. — Gubernator Smith, dowiedziawszy się o tych zarzutach, zwrócił się listownie do predykanta i oświadczył, że takie przemówienie wygłoszone było w celach politycznych, nie zaś jako słowo Boże, i poświęcone nauce Chrystusa, który powiedział: „Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa“ — i dlatego zażądał zaproszenia siebie do kirchy, powtórzenia wobec siebie tych

zarzutów i dania możności odpowiedzi na nie. Dr. Straton przystał na to żądanie. (Pol.-Kat. 15-16 roz. 1928 r.).

Paryż. Ks. Lhand, kaznodzieja radjowy. — Wielką popularność we Francji zdobył sobie swemi kazaniami przez radjo ks. Lhande. Co niedziela, w ramach poranków muzyki religijnej, zorganizowanych przez „Radjo-Paris", wygłasza on kazania, które zjednały mu ogólną sympatję wśród niewidzialnego coprawda, ale zato olbrzymiego audytorjum. Świetny i porywający mówca, wzorowy kapłan, znany również ze swej pracy misyjnej na terenie skomunizowanych zupełnie przedmieść paryskich, ksiądz Lhande jest apostołem nowej formy kaznodziejstwa, jaką jest głoszenie Słowa Bożego przez radjo. Ponieważ jednak słowa są ulotne, ks. Lhande powziął szczęśliwą myśl ogłaszania swych kazań drukiem, o co zresztą był usilnie proszony przez swych licznych słuchaczy. Serja jego radjo-kazań, zatytułowana „dobry Pasterz" ukazała się nakładem paryskiej firmy księgarskiej „Editions Spes". Nowa książka, poprzedzona wstępem, w którym ksiądz Lhande omawia znaczenie radja dla służby Bożej i pracy kapłańskiej, obejmuje trzy rozdziały. Pierwszy z nich zawiera dwa kazania, wygłoszone z wiosną tego roku do katolików angielskich i transmitowane z Paryża przez wszystkie stacje Wielkiej Brytanji. W drugiej części zawarte są trzy kazania, których przedmiotem jest trójca najpiękniejszych i najczystszych postaci z francuskiej hagjografji: Święta Teresa z Lisieux, święta Germana z Pibrac i święta Joanna d'Arc. Wreszcie trzecia część, najobszerniejsza, obejmuje kazania wygłoszone w tym roku przez radjo z okazji Wielkiego Postu, w których ks. Lhande, na podstawie przykładów z Ewangelji, opowiada o nieznużonym wysiłku Dobrego Pasterza, poszukującego niezmordowanie i nieustannie tych owieczek, które błądzą zdala od owczarni.

Paryż. Kaznodzieja wielkopostny w Notre-Dame. J. Em. kard. Dubois, arcybiskup paryski, powołał na konferencjonistę wielkopostnego w Notre-Dame O. Pinard de La Boullaye, jezuitę. Jest to już trzeci jezuita, pełniący ten zaszczytny urząd konferencjonisty w Notre-Dame. Jego poprzednikami byli w ubiegłem stuleciu — OO. de Ravignan i Félix. O. Pinard dostaje się na pierwszą ambonę Francji wprost z katedry uniwersyteckiej. Dotąd bowiem wykładał na gregorjańskim uniwersytecie w Rzymie historję religji. Znany jest w kołach naukowych jako pierwszorzędny etnolog; — umysł szeroki, bystry, jasny. O. P. pochodzi z Paryża (ur. 1874 r.), do jezuitów wstąpił 1893 r. Po 15 latach studjów filozofji, teologji i historji religji zostaje profesorem w wyższym teologicznym instytucie w Enghien (Belgja). Jako wybitna siła naukowa dał się poznać ze współpracy w wielkiej encyklopedji teologicznej (Letouzey) i apologetycznej (Beauchesne). W r. 1914 wykłada w Paryżu przez jeden trymestr porównawczą historję religji, w tym roku został sekretarzem jeneralnym międzynarodowych tygodni porównawczej etnologji. Od r. 1922-25 wydaje naukowe sprawozdania z owych tygodni, a nadto poważne dwutomowe dzieło o studjum porównawczem religji (Beauchesne) i roczne biuletyny z tej dzie-

dziny w *Recherches de science religieusę.* Zapraszany bywał z wykładami naukowemi do Rzymu, Wiednia, Lowanjum, Leodjum, Medjolanu. Wybitny talent mówniczy i gorącą duszę apostolską ujawnił w kazaniu podczas kongresu Apostolstwa Modlitwy na Montmartre w r. 1920, w mowie na stulecie śmierci Napoleona, mianej wobec elity wojskowej Francji w Moguncji (1921 r.), i w czasie uroczystości misyjnych w Douai.

Angers. Biskup rekolektant. Ks. bp. Rumeau, ordynarjusz diecezji Angers dawał w tym roku rekolekcje siostrom św. Józefa w Beaufort en — Vallée. Jest to już 25 serja rekolekcyj, jakie ten pasterz prowadził osobiście w swej diecezji dla zgromadzeń zakonnych.

Wiedeń. Misje. Wiedeński arcybiskup J. Em. ks. kard. Piffl urządza w listopadzie i grudniu w 110 kościołach Wiednia misje dla całego miasta.

Włocławek. Kazania w uroczystości państwowe i narodowe. Kurja diec. powiadomiła księży proboszczów, że na życzenie władz państwowych mogą odprawiać w kościele uroczyste nabożeństwa (Msza św. i odpowiednia nauka) w uroczystości państwowe i narodowe bez uprzedniego zwracania się o pozwolenie do kurji.

Kielce. Kazania w katedrze. Pierwszy numer „Wiadomości Parafji Katedralnej“ (paźdz. 1928 r.) podaje wiernym do wiadomości, że kazania w niedziele i święta będą głoszone na każdej mszy św., a więc o godz. 6, 7, 8, 9, 10 (dla szkół średnich), 11 (na sumie), a nadto nauki po nieszporach.

Lublin. Nowy lektor dykcji. — Od początku roku akademickiego 1928—1929 wykłady i ćwiczenia z zakresu dykcji prowadzić będzie na Wydziale Nauk Humanistycznych (w Instytucie Pedagogicznym) Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego artysta i naczelny reżyser teatru miejskiego w Lublinie p. Stanisław Dąbrowski.

Nowy Sambor. Polityka na ambonie. W Nowym Samborze odbywała się na początku września w cerkwi grecko-katolickiej koronacja obrazu Matki Boskiej. Wchodzi na ambonę kaznodzieja, ks. Kulczycki i poczyna m. i. sławić działalność partji ukraińskiej Undo i robotę agitacyjną jakiegoś adwokata. Obecny w Kościele ks. bp. Kocyłowski podniósł się z miejsca i zawołał w stronę kaznodziei: „Otcze, slizajtie!“ Stropiony kaznodzieja opuścił ambonę, a inny ksiądz z polecenia biskupa dokończył kazanie. (Gł. Nar., 6 wrz., Nr. 242).

RECENZJE.

Pismo św. na kazalnicy z przydaniem kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa (Mt. 1) napisał ks. dr. Michał kardynał v. Faulhaber, arcbp. monachijsko-fryzyngski. Ze „Sprawozdania z kursu homiletycznego w Monachjum od 10 do 12 października 1927 r.“ wyjął i spolszczył ks. Jan Korzonkiewicz. Kraków. Czcionkami drukarni „Głos Narodu“. 1928. Str. 70.

Trzy wykłady J. Em. kard. Faulhabera, wygłoszone na kursie homiletycznym w Monachjum, stanowią poważny krok naprzód w teorji kaznodziejstwa. Dają one bowiem, według określenia samego Najdost. Referenta, „krótką hermeneutykę homiletyczną do wszystkich ksiąg Pisma św. (hermeneutykę ogólną), następnie zaś również krótką hermeneutykę homiletyczną do poszczególnych ksiąg Starego i do pierwszych ksiąg Nowego Testamentu (hermeneutyka szczegółowa)“. Ramy jednego (trzeciego) referatu były za szczupłe, aby w nich pomieścić, choćby w najogólniejszym zarysie, prócz Ewangelij resztę ksiąg Nowego Testamentu.

Mając przed sobą tak rozległe obszary myślowe, wypadło N. Autorowi wznieść się bardzo wysoko, aby obok najogólniejszych wskazówek, dotyczących użytku homiletycznego ksiąg świętych, wskazać jeszcze w poszczególnych księgach materjały i tematy kaznodziejskie. Wykład przedstawia się jasno i zwięźle. Głęboka treść dostarcza wiele cennych wskazówek bezpośrednio dla użytku ambony. Dlatego i kaznodzieje, którym leży na sercu godne spełnianie *ministerii Verbi*, z wdzięcznością przyjmią ten cenny nabytek literacki, czerpiąc zeń nowe światła do tem gorliwszego studjum Pisma św. dla użytku ambony. Dodajmy, że i wydawane obecnie u św. Wojciecha w Poznaniu Pismo św. (dotąd wydana połowa ksiąg — trzy tomy!) aż się doprasza, aby się niemi w szczególny sposób zainteresowali kaznodzieje. Bodajby te publikacje zwróciły uwagę naszych kaznodziejów na tak wdzięczną, a u nas nieznaną dziedzinę „kazań biblijnych“. Wyborną próbę takiego kazania biblijnego mamy w załączniku do omawianej pracy — na temat rodowodu Chrystusa. Rzadko się wiernym zdarza usłyszeć kazanie, któreby omawiało pierwszy rozdział ewangelji według św. Mateusza. Niechby więc choć raz nasi kaznodzieje zgotowali swym słuchaczom niespodziankę i za przewodem tak biegłego w Pismach N. Autora wykazali im, ile to radości zwiastuje wiernym ta obszerna litanja 42-u imion rodowodu.

Ks. Z. Pilch.

Ks. Dr. Teofil Bromboszcz. **Die Einheit des Ioannes-Ewangeliums.** 1927. S. 251. Katowice.

Ewangelja św. Jana, stawiająca bóstwo Pana Jezusa na pierwszym planie, przez wielorakie hipotezy obozu protestanckiego racjonalistycznego dotychczas jest atakowana. Hipotezy te zdążają w tym kierunku, aby podkopać jej wiarogodność i autentyczność. Wykazanie jednolitości IV-ej ewangelji jest właśnie jedną z odpowiedzi na zarzuty racjonalistów. Autor w podjętej pracy dowodzi jednoli-

tości IV-ej ewangelji, na podstawie jednego wyraźnego celu, jednakiej nauki, jednego planu i zawsze jednego sposobu wyrażania. I to stanowi część pierwszą. W drugiej części, po specjalnem uwzględnieniu rozdziału o niewieście cudzołożnej i zakończenia ewangelji, przechodzi wszystkie rozdziały kolejno aż do samego końca. Wnioski całej pracy umieścił autor w paragrafie zatytułowanym „Das Schlusswort", a ze wszystkich hipotez dotychczas podanych, uważa przekonanie tradycyjne za najlepsze w rozwiązaniu sprawy „Janowej".

Praca jako ściśle naukowa z zakresu biblijnego fachowo może być omówiona tylko w czasopiśmie biblijnem. Dla homilety ma o tyle znaczenie, o ile przyczynia się do jaśniejszego i dokładniejszego zrozumienia rozdziałów czy tekstów przy głoszeniu słowa Bożego z IV-ej ewangelji. Autor zaznacza, że językiem macierzystym dla niego jest język polski, pisał jednak po niemiecku, pisząc rozprawę na uniwersytecie wrocławskim. Językiem niemieckim pomnożył liczbę swoich czytelników zagranicą i dał odpowiedź sferom protestanckim.

Ks. J. P.

Sancti Thomae Aquinatis **in Evangelia S. Matthaei et S. Joannis commentaria.** 2 tomy in 8-o; 402 i 518 str. Cena 62 fr. fr. Turyn, Marietti 1925.

Kaznodzieje nieraz oglądają się za komentarzami, któreby im dostarczyły solidnej i przystępnej treści do wyjaśniania tekstu ksiąg świętych. Tej potrzebie odpowiadają właśnie dwa wspomniane komentarze św. Tomasza i dlatego je tutaj naszym czytelnikom przypominamy. W tych dwu tomach św. Tomasz streścił naukę Ojców Kościoła, odnoszącą się do tekstu Ewangelji, a uczynił to w tej formie, że wciąż spotykamy się z imionami św. Hilarego, św. Ambrożego, św. Augustyna, św. Grzegorza, Orygenesa i innych... Pozestawiane ich różne wykłady i świadectwa rzucają wiele światła na poszczególne myśli Ewangelij. Forma językowa i treść nie sprawią czytelnikowi wyjątkowych trudności. Wyrazić tu można ubolewanie, że tak wartościowy komentarz jest tak mało rozpowszechniony, mimo że drugorzędne prace z tej dziedziny znajdują szeroki popyt.

B. T.

Jan Kasjan. — **Rozmów dwadzieścia cztery.** Z łaciny tłumaczył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył ks. dr. Ludwik Wrzoł. Pisma Ojców Kościoła, tom VI, Poznań 1928, Księgarnia Uniwersytecka. Stron XVIII i 362.

Jako poprzednie, tak i obecny tom cennego wydawnictwa Pism Ojców Kościoła, przedstawia się ponętnie w treści i w szacie. Druk, jako zwykle czysty i wyraźny, układ przejrzysty, że aż ochota bierze taki tom wziąć do ręki nie tylko na pobieżne przerzucenie i przejrzenie, ale na dokładne przeczytanie i zapamiętanie. Język i styl przekładu poprawny i potoczysty pomimo, że od łacińskiego oryginału do przekładu polskiego upłynęło lat półtora tysiąca. Tłumacz we wstępie uwzględnił wszystko, co winien wiedzieć o Kasjanie polski czytelnik, a w objaśnieniach ograniczył się do rzeczy nieodzownych, unikając pomyślnie przeładowania książki licznemi

dodatkami. Umiejętnie we właściwych miejscach ostrzega tłumacz przed błędami, trącącemi pelagjanizmem, których się nie ustrzegł Kasjan pomimo całej swojej prawowierności i uległości wskazaniom wiary. Usterki Kasjana możemy łatwo wyrozumieć, a z jego wywodów ascetycznych czerpać dla siebie obrok duchowny. Kaznodziejom i ludziom, dążącym do doskonałości, wiele myśli podsuną i wiele uczuć roznieca Kasjanowe rozmowy z zakonnymi ojcami.

Ks. A. S.

Ks. dr. M. Sieniatycki. **Zarys Dogmatyki Katolickiej.** Tom I. O Bogu Jednym i Trójosobowym. Kraków. 1928, str. 320.

Fachowe pismo teologiczne da zapewne szersze sprawozdanie z tej pracy. „Przegląd Homiletyczny“ musi ograniczyć się do zaanonsowania tego dzieła. Pomimo to nie możemy powstrzymać się od paru uwag. Przedewszystkiem Sz. Autor, długoletni profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, doskonały pedagog, jak o tem świadczą podręczniki gimnazjalne do etyki czy dogmatyki, powszechnie używane w szkołach, dał nam podręcznik teologiczny, napisany w języku polskim! Tom pierwszy ma być — według zapowiedzi — początkiem całej dogmatyki szczegółowej. Prawda, że taką dogmatykę napisał ks. Tylko („Dogmatyka Katolicka“, Tarnów 1900), ale od tego czasu minęło lat 28, a zresztą jest ujęta zbyt ogólnikowo. Pozatem ks. dr. Kazimierz Lutosławski napisał „Teologję“, przeznaczoną jednak nie dla fachowo studjujących, lecz jako lektura „dla wykształconego ogółu“, jak brzmi podtytuł. Stąd, ściśle rzecz biorąc, jest to pierwszy, na miarę zagranicznych dzieł teologicznych zakrojony podręcznik teologiczny. Początkujący teologowie, a nawet i reszta kleru przyjmie tę pracę z wdzięcznością: w sposób milszy i zrozumialszy czyta się dzieło, w języku ojczystym napisane. Wartość jej podnosi próba, częściowo udana, stwarzania trudnej bardzo nomenklatury teologicznej polskiej. Jak daleko już poszli w tym kierunku niemcy i francuzi! Powiadamy, że to dopiero próba, bo i sam Sz. Autor to stwierdza i jak widać z samej pracy, wiele wyrażeń teologicznych łacińskich nie poddaje się jeszcze duchowi języka polskiego. Ale wysiłek zrobiony. A może za nim pójdą inne ku pożytkowi wiedzy teologicznej polskiej.

Ks. M. K.

Max Pribilla S. J. **Um die Wiedervereinigung im Glauben.** Herder, Freiburg, 1926. Seiten 70 in 8-o.

Aktualnemu zagadnieniu powrotu błędnowierców, a przedewszystkiem protestantów na łono prawdziwego Kościoła Chrystusowego, poświęcono to dziełko. W przedstawieniu zagadnienia widać wielką rozwagę i wielkie serce autora, przemawiającego do swoich rodaków Niemców, jako wierny katolik i rzetelny patrjota. Sprawę autor ujmuje tak taktownie i ostrożnie, że nie odstępując od katolickiej zasady, protestantów nie zraża, owszem pociąga ich do „ponownego zjednoczenia w wierze“. Wywody dziełka, wyłożone jasno z pełnem zrozumieniem Boskiej i ludzkiej strony Kościoła katolickiego, nadają się do zastosowania w kazaniach dogmatycznych o Kościele.

Ks. A. S.

Mgr. dr. Stephan Leo v. Skibniewski. **Theologie der Mechanik.** Paderborn. Ferd. Schöningh. 1928.

Dzieło powyższe dotyczy pogranicza teologji i nauk przyrodniczych, a w szczególności fizyki; rozważa ono pewne kwestje wspólne dla egzegezy Pisma św. i mechaniki. Autor postawił sobie za cel: wykazać, że zasady teologji katolickiej odnośnie do kwestji istnienia Boga, oraz katolicka egzegeza ustępów Pisma św. odnoszących się do kwestji stworzenia i końca świata nie są sprzeczne z niewątpliwemi wynikami badań oraz dobrze zrozumianemi teorjami nauk przyrodniczych. Dąży więc autor do rozwiązania pozornych sprzeczności między nowoczesnemi teorjami dotyczącemi pojęcia ruchu i energji, a tradycyjną egzegezą katolicką. Czy autor cel swój osiągnął, nie tu miejsce o tem sądzić. W każdym razie — w traktowaniu swego tematu wykazał dużo erudycji i opanowania odnośnej literatury, oraz wielką zdolność logicznego powiązania zasad i faktów.

Kaznodzieja i wogóle mówca duchowny, może w powyższem dziele znaleźć wiele materjału do konferencyj filozoficzno-apologetycznych przeznaczonych dla audytorjum mającego głębsze pojęcie o dzisiejszym stanie nauk przyrodniczych.

Ks. K. D.

Capello Felix S. J. **Tractatus canonico-moralis de Sacramentis.** Vol. II. **De poenitentia.** Taurinorum Augustae, Marietti. 1926. Str. 896. Cena 32 liry.

Jest to bardzo obszerny, szczegółowy i wyczerpująco opracowany traktat znanego kanonisty i zarazem moralisty. Układ materjału jest zwykły, jak w innych podręcznikach tegoż rodzaju. Bogactwo treści olbrzymie; autor daje podstawy dogmatyczne, historję zagadnienia, zarządzenia prawnicze i bardzo bogatą kazuistykę; trzeba podkreślić wytrwałość i cierpliwość autora w gromadzeniu spostrzeżeń własnych i cudzych. Układ treści jest bardzo przejrzysty; autor umie jasno wyrazić swe poglądy i twierdzenia. Dobry indeks rzeczowy ułatwia szybkie znalezienie każdego zagadnienia.

Jeżeli chodzi o treść książki, autor wypowiada ciekawe poglądy. Np. w traktacie de absolutione moribundi (str. 201, n. 243, p. 2) skłania się do zapatrywania, że przy nagłej śmierci pomimo ustania oddechu i pulsu życie w organizmie jeszcze trwa przez 1 dzień.

Bardzo obfite są rady dla spowiedników w stosunku do różnych kategoryj penitentów; np. o recydywistach, nałogowcach, skrupulatach, o spowiedziach ludzi dążących do doskonałości i t. p.

Książka pożyteczna jest dla kapłana jako duszpasterza do pracy w konfesjonale; ambona stosunkowo mniej z tego dzieła skorzysta.

Ks. E. G.

Ks. Kazimierz Smogór. **Kazania na 40-godzinne nabożeństwo** i Homilje Wielkopostne. Nakładem Autora. Kielce, 1928 r., str. 210, zł. 6. Część nakładu w Adm. Przeglądu Homil.

Pięknie wydana książka niniejsza jest zbiorem kazań i homilij znanego nietylko wśród Polonji amerykańskiej kaznodziei. Ogółem

mamy tu 25 kazań; 11 nauk tematycznych na naboż. 40-godzinne i 14 (w 2 serjach) homilij na Wielki Post. Kazania były głoszone w rozmaitych latach, i dlatego w wyborze tematów spostrzegamy pewną bezplanowość. Są naogół krótkie, większość zaś homilij za krótkie nawet. Naczelną ich cechą jest oryginalność (uwidocznia się to głównie w hom. o zdradzie Judasza), świeżość i praktyczność. Autor iście po amerykańsku ujmuje swój przedmiot: trzeźwo, treściwie, bez amplifikacyj i ozdób retorycznych. Chodzi mu widocznie o to, żeby w najkrótszym czasie dać słuchaczowi możliwie najwięcej. We wszystkich kazaniach znać bardzo solidną podbudowę dogmatyczną; wyczuwa się nawet, że autor lubi potrącać o traktaty najtrudniejsze, jakim jest np. traktat o łasce. Wszędzie jednak dogmat łączy z nauką obyczajową. Obficie szafuje cytatami i przykładami biblijnemi, nie unika też historji świeckiej i kościelnej. Wszystkie przykłady są dobrze zastosowane i rozwinięte. Zdarzają się miejsca silne, np. część praktyczna ostatniej homilji. Styl autora prosty, zwięzły i przejrzysty. Język poprawny, lubo miejscami nieco razi używanie barbaryzmów, jak: rehabilitowanie, bankructwo, kompletna satysfakcja, sanacyjny wpływ, ekscentryczny, wizja, sympatycy w znaczeniu przyjaciele (str. 136), sztychy w zn. bodźce (str. 132). Ton kazań wydaje się naogół za wysoki, zwłaszcza na wieś. Pomimo to wszystko piękną i pożyteczną książkę witamy z całem uznaniem.

Ks. I. B.

Ks. Henryk Weryński. **Młodzi — na bój!** Triduum ku czci św. Stanisława Kostki. Poznań, 1928, str. 43.

Kto przed uroczystością św. Stanisława Kostki urządzał nowennę, ten wie, jak kłopotliwe jest znalezienie krótkich a dobrych czytanek: — ogólnikowe, blade — nie mogły trafiać do serc młodocianych słuchaczy. To też niejeden kapłan wolał przemawiać. Zapewne, młodzież dzisiejsza budzi tyle trosk i niepokoju, że o temat i materjał dość łatwo. A jednak, gdy ma się pod ręką gotową, dobrze opracowaną naukę czy kazanie, to najlepszy nawet mówca chętnie do nich zajrzy. To też dobrze przysłużył się sprawie ksiądz Weryński, że wydał „Młodzi — na bój!“ Prawda, że to triduum, stąd trzy tylko nauki, że je głównie przeznaczono dla młodzieży pozaszkolnej, jednak i za to bracia kapłani powiedzą: „Bóg zapłać!“... Tem bardziej, że trzy te przemówienia: „wartość młodości“, „w ogniu walki“ i „wytrwać“ są napisane popularnie, psychologicznie i gorąco. Może tylko za dużo kwestyj w drugiem i trzeciem kazaniu, stąd nieunikniona (częściowo) ogólnikowość. Ale i to da się zużytkować na więcej przemówień. Dobrzeby było, gdyby Sz. Autor opracował krótkie, a jędrne przemówienia na całą nowennę! To co napisał daje gwarancję, że z pod jego pióra wyjdzie rzecz ładna i nieszablonowa.

Ks. M. K.

Makłowicz Józef ks. — **Wybór przykładów ojczystych** do nauki wiary i obyczajów. Czytania religijne dla katolików. Tom I. Miejsce Piastowe. Nakładem Autora. Tłocznia Zakładów Świętego Michała Archanioła. 1928 (451 str. w 8-ce).

Zbyteczną jest rzeczą przekonywać, jak doniosłe znaczenie w nauczaniu religji ma przykład, który naukę wyjaśnia, pogłębia i ożywia. Wystarczy powołać się na Najwyższego Mistrza naszego Jezusa Chrystusa, nauczającego przeważnie przykładami i porównaniami. — Pierwsze miejsce po wzorach biblijnych mają przykłady, w których bije tętno życia ojczystego. Ks. P. Skarga w żywocie św. Stanisława M. tak wyraża się w tej sprawie: „Bliski a domowy przykład krwi twojej prędzej cię poruszy ku naśladowaniu cnót... i kazanie niepobożności prędzej cię przestraszy". Nauka, opierająca się na psychologji narodu, wydatniejsze wydaje wyniki. „Naród, słysząc opowiadania z dziejów i literatury rodzimej, chętnie garnie się do nauki kościelnej i wzmacnia się nietylko w uczuciach religijnych, ale i w narodowych, co jest bardzo ważnem wobec grożącego bolszewizmu".

Temi słowy Autor w „Przedmowie" do swojej książki sam określił zasady, na podstawie których podjął się wydania tego dzieła. Nie znajdzie się chyba nikt taki, któryby zasad tych oburącz, jak się to mówi, nie podpisał. Wszak wiadomo, że *verba movent, exempla trahunt*. A o powodzeniu niejednego kazania często rozstrzyga — zwłaszcza u słuchaczów z ludu — to, czy kaznodzieja umie posługiwać się „przykładami", i — jakiemi.

Zrozumiawszy ks. Makłowicz ważność tej sprawy, już w latach 1910-14 sporządził I wydanie „Przykładów ojczystych do nauki katechizmu" w 5-ciu tomach. Powodzenie „Przykładów" musiało być — mimo wszystko — niemałe, skoro przystąpił po niedługim stosunkowo czasie do wydania niniejszego tomu. Zawiera on „wybór przykładów z uzupełnieniami, żeby książka ta służyła nietylko do kazań i wykładu, ale nadto jako czytanka, do bibljotek ludu i młodzieży. Dla zwiększenia materjału są dołączone cytaty biblijne i wskazane przykłady z biblji oraz z literatury polskiej". (Przedmowa).

Materjał zebrany jest i ułożony według podziału i schematu katechizmowego: więc po „przykładach", mających zilustrować naukę o celu człowieka, idą „przykłady" do rozdziałów katechizmowych o wierze (Składzie Apostolskim), o nadziei, o miłości chrześcijańskiej.

„Niektóre przykłady nadają się do kilku tematów, dlatego najlepiej szukać ich według alfabetycznego spisu rzeczowego" (który chyba będzie dodany do któregoś z późniejszych tomów, bo ten tom pierwszy takiego spisu nie ma), poucza Autor w przedmowie i dodaje: „Przykładów każe używać program nauki religji w szkołach powszechnych, a program gimnazjalny cytuje „Przykłady ojczyste" jako dzieło pomocnicze".

Z tego widać, że zasiąg tej książki podług intencji Autora jest bardzo wielki: ma ona dostarczyć materjału do kazań, do katechizacji, do wykładów, a nadto służyć jako czytanka do bibljotek ludu i młodzieży. Nie będziemy się sprzeczać o to, czy tych celów jednak nie jest za dużo i czy jeden drugiemu nie wchodzi w drogę. Co bowiem dobre jest dla zaspokojenia prostej ciekawości zapomocą czytania — powiedzmy w długie wieczory zimowe — to nieko-

necznie musi się nadawać na ambonę. Na ambonę zresztą nie powinno się nigdy dostawać nic takiego, co nie jest przedewszystkiem stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, oraz nie jest w swoim rodzaju najlepsze. W tym względzie Autor ma dużo poczucia obowiązku, bo przy każdym numerze zbioru cytuje źródło, z którego dany przykład jest wzięty. Bardzo też dobrze uczynił ks. Makłowicz, że podał nieco literatury, przy pomocy której korzystający z jego zbioru daną kwestję będą mogli pogłębić i oświetlić lepiej. Ks. Makłowicz jest pięknym przykładem prawdziwości i słuszności rady, której się udzielać zwykło wszystkim czytającym, a która opiewa tak: „Czytaj z ołówkiem w ręku" (albo i z nożycami, jeżeli chodzi o gazety); idąc za tą zasadą, to, co przeczytał, uczynił pożytecznem dla siebie i dla tych, którzy będą korzystać z jego mozolnej i skrzętnej pracy. Oby ich było jak najwięcej!

Ks. J. Korzonkiewicz.

P. Achille Léon O. F. M. — **Saint François d'Assise et son oeuvre.** Histoire de l'Ordre des Frères-Mineurs des Origines à nos jours. Paris, Lethielleux, 1928, str. 395.

Ze słuszną dumą synowie św. Franciszka patrzą wstecz na przestrzeń siedmiu stuleci, które upłynęły od chwalebnej śmierci ich patrjarchy. Ideały jego, i tychże ideałów w ciągu wieków wcielenie z woli naszego autora świat katolicki a szczególnie młodzież francuska mają poznać. Pokochają sprawę św. Franciszka, a może zatęsknią za jego czcigodnym habitem i przywdzieją go. Niech przyjdą! Szerokie są rozłogi apostolstwa franciszkańskiego — świadczy o tem książka niniejsza — i wielu jeszcze potrzeba pracowników, zanim po klęskach i stratach wieków 18 i 19, powróci do dawnego rozkwitu. Liczył wszak zakon franciszkański w wieku 14 członków 30/40.000; roku zaś 1762 aż 76.000; w październiku 1926 r. tylko 18.862. Potrzeba zatem powołań. A duch czasu, jak wiadomo, zbytnio im nie sprzyja. Odczuwa to także rodzina franciszkańska.

Stawia przeto autor przed oczy czytelników krótko ujęty, przemiły, dobrze udany obraz św. Franciszka, „siewcy ideałów". Poznajemy długie, na samem zaraniu ruchu franciszkańskiego już zaznaczające się walki o czystość tych ideałów i nieumniejszenie ich ustępstwami. Pozostał zakon wierny do dziś tej regule, o której jeden z papieży tak się wyraził: „Dajcie mi brata mniejszego, który zachował regułę, a kanonizuję go". Przesuwa się przed nami długi szereg myślicieli franciszkańskich, wraz z ich nauką. Widzimy, jak głęboko sięgał wpływ myśli franciszkańskiej na sztukę, na malarstwo, poezję, budownictwo, śpiew ludowy, szczególnie na dramat.

Pełne chwały są dzieje pracy apostolskiej w kraju i na misjach. Przez swoją inicjatywę i przykład (wyjazdy od roku 1212 już do Maroku, Egiptu, Palestyny) staje się św. Franciszek założycielem misyj zagranicznych 13 wieku. Brat Eljasz zakłada roku 1217 w Syrji pierwszą, prawdziwie zorganizowaną misję zagraniczną. Odtąd śmiali podróżnicy franciszkańscy idą na zdobycie świata. Od Afryki do Litwy i Skandynawji, od Ameryki przez Japonję, Chiny, Indje do Ziemi Świętej bracia mniejsi niosą ewangelję. Szlaki ich

znaczone są męczeńską krwią; od pierwocin, znanych pięciu męczenników marokańskich z roku 1220 do ostatniego, o którym donosi książka, hiszpana Aurelio Marquez, zabitego 4 sierpnia 1926 roku w Chinach. Prześladowania i niepowodzenia ich nie zrażają. Wypędzeni z klasztoru opuszczają go ze śpiewem *„Te Deum laudamus“*. Za symbol ich wytrwałości mógłby służyć piękny gest francuskiego misjonarza franciszkańskiego. W 1660 r. wyjechało sześciu na misje do Madagaskaru. Pod Lizboną okręt ich został przez korsarzy napadnięty i wysadzony w powietrze. Fale uniosły misjonarzy. Jeden z nich wysoko nad wodą trzymał krzyż, póki go nie pochłonęła sina toń.

Najprzedniejszą przecież życia apostolskiego, jakie wiedli Franciszek i jego towarzysze, częścią, była praca w kraju pośród ludu. Naśladować Chrystusa Pana i jego apostołów, przepowiadać mową prostą, ludową wesołą nowinę, przyświecać własnym przykładem tych cnót, których uczyli lud, oto ich zamiar. Sam Franciszek miał się za herolda wielkiego króla, za rycerza zawsze gotowego ruszyć ku zdobyciu dusz. Ubóstwo dało mu rozmach. Życie wędrowne stanowiło podstawę jego apostolstwa. Mniejsza o to, gdzie jego bracia mieszkali; mniejsza, czy ich dobrze przyjęto, lub źle; byle nigdy nie ustali w głoszeniu ewangelji. „Z takiemi zasadami można dotrzeć do krańców świata“.

Nauką wprawdzie nie gardzi. Uczonego brata, Piotra z Katany, nazywał „mistrzem“. W testamencie swoim poleca czcić teologów, „gdyż oni nam udzielają słowa Bożego“. Ale jest ona mu głównie środkiem do celu apostolskiego. To też św. Bonawentura uczy, że z mistrzów, filozofów tylko przygodnie, ukradkiem należy czerpać, nie zatrzymać się przy nich. Światła trzeba szukać w piśmie św. „Pismo powinno się wziąć, przeżuwać, wcielić w siebie i całą jego słodycz skosztować“. Sam Franciszek, gdy kiedyś w pewnym klasztorze znalazł się tylko jeden egzemplarz Nowego Testamentu, rozdarł go, rozdzielając luźne kartki pomiędzy braci.

Co do sposobu głoszenia kazań, Franciszek sam dla siebie przekładał nadewszystko p r z y k ł a d dobrego życia, który uzupełniał upomnieniami moralnemi. Braciom zaś w Regule z roku 1223 takie dał przepisy: „Upominam i zachęcam braci, aby w swych kazaniach i mowach byli roztropnymi i czystymi, tak, aby lud odnosił korzyść i zbudowanie. Niech mówią o nieprawości i o cnocie, o karze i o chwale wiecznej, i to krótko, bo i Zbawiciel nasz krótko zwykł mówić na ziemi“. A znowu Reguła z roku 1221 takie zawiera wskazówki dla pracy kaznodziejskiej: Wszyscy moi bracia mogą wygłosić przemowę następującą: „Bójcie się Boga i czcijcie go, chwalcie i błogosławcie go, dziękujcie mu i uwielbiajcie Pana Boga wszechmogącego, w Trójcy jedynego, Ojca, Syna i Ducha Św., Stworzyciela wszystkich rzeczy. Czyńcie pokutę i przynieście godne owoce pokuty, wiedząc, że rychło umrzecie. Dajcie, a będzie wam dane. Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. A jeśli nie odpuścicie ludziom wszystkich ich grzechów, Bóg wam nie odpuści waszych. Spowiadajcie się z wszystkich swoich grzechów. Szczęśliwi ci, co umierają wśród ćwiczeń pokuty, albowiem pójdą do Króle-

stwa niebieskiego. Natomiast nieszczęśliwi ci, co nie umierają w pokucie, albowiem będą synami djabła, którego dzieła czynią, pójdą do ognia wiecznego. Czuwajcie i strzeżcie się wszelkiego złego i wytrwajcie w dobrem do końca". Kazanie franciszkańskie jest popularne, ale nie trywjalne. Mówić językiem wszystkich, aby przez wszystkich być zrozumianym. Tak czynił św. Franciszek, tak samo jego uczniowie. Ale kazanie nie ma być wyuczone, sztuczne, cyzelowane. Wypadło kiedyś św. Franciszkowi mówić wobec dworu papieskiego. Kardynał Hugolin opracował mu kazanie, Franciszek uczył się go wiernie napamięć. Gdy zaś stanął przed papieżem i kardynałami, tak się zmieszał, iż wszystko zapomniał. Sięgnął więc po psałterz, pochwycił jakąś myśl i rozwinął ją z takiem przejęciem, stosując ją do słuchaczy, ganiąc ich zbytki i zły przykład, iż wszystkim rozbudził sumienia. Przygotować się należy umartwieniem. „Po lekturze, medytacji, modlitwie, następuje krótkie przemówienie, w którem raz po raz trafiają się słowa: „Miłość Boga, Miłość nie jest miłowana, miejcie zgodę z bliźnimi; Pax et Bonum..." Słowa kaznodziei popiera śpiew ludowy, przez Braci mniejszych zaprowadzony. Bywa, że i sam kaznodzieja na ambonie śpiewa. Wogóle kazanie franciszkańskie zwraca się do serca i uczucia. „Św. Franciszek upatrywał w kazaniu przedewszystkiem wylew serca".

Naczelne stanowisko, jakie kaznodziejstwo zajmuje w pracy franciszkańskiej, wyraża się także w budownictwie: stawia się kościoły wyraźnie dla celów kaznodziejskich. Miejsce chóru rychło zajmuje ambona, rodzaj niszy z balustradą, przystawionej do muru. Schody dochodzą zazwyczaj od zewnątrz. Ambona staje się wprost motywem ornamentacyjnym kościoła. Franciszkański ruch kaznodziejski był wielkiem zdarzeniem. „Rozlał się z szybkością pioruna, jak ogień lontowy". Był on „niby płomień, pomykający nieustannie po drogach Włoch", pisze Chesterton. Jego wpływ sięgnął głęboko: malarstwo n. p. nabrało zupełnie nowego oblicza. Wielcy kaznodzieje, których w zakonie nie zabrakło w żadnym okresie ich dziejów, cieszyli się powodzeniem niebywałem. Nieprzejrzane rzesze, do 200 tysięcy, gromadziły się około ich ambon. Ze względu na trudności, które nastręczyło wyżywienie takich mas, władze świeckie musiały się wdać w sprawę: Bertholdowi Ratysbońskiemu zabroniono kazań przez kilka dni z rzędu w jednem mieście. Niepodobna tu wyliczyć, za autorem, długiego szeregu sławnych mówców franciszkańskich, od św. Antoniego Padewskiego do Augustyna z Montefeltro, zmarłego r. 1921. Jan Kannengiesser z Hildesheim zdobywa sobie przydomek „trąby prawdy" i niderlandski Jan Brugman przechodzi w przysłowie: parler comme Brugman. Polska może się szczycić Szymonem z Lipnicy, Janem z Dukli i Ładysławem z Gielniowa.

Prawdziwy mówca winien znać i być wrażliwym na nastroje i potrzeby słuchaczy. Takimi byli franciszkanie. Stąd ten ich ludowy ton, którego autor daje próby. To było powodem, że św. Bernardyn z Sjeny w czasie winobrania nocą głosi kazania. Dlatego towarzyszy słowom Braci mniejszych czyn społeczny. Podczas pewnego

kazania Bertolda Ratysbońskiego jawnogrzesznica wyznaje z płaczem głośno swe grzechy, obiecując poprawę. Bertold, po krótkim namyśle, zarządza na nią składkę, która przynosi 10 funtów srebra, hojny posag dla młodej dziewczyny. Św. Kapistran godzi wrogów, ratuje miasto Akwilę przed zburzeniem, ukraca rozbójnictwo, broni uciśnionych, zakłada szpitale, zaradza wszelakiej biedzie. Podobnie też inni. — Należy jeszcze wspomnieć o zasługach franciszkanów w obronie wiary przeciw protestantyzmowi, o duszpasterstwie wojskowem, o misjach ludowych. W okolicach protestantyzmem nawiedzonych urządzano je z wielką korzyścią i do dziś stanowią jeden z głównych środków apostolskiej pracy zakonu. Misje po reformacji zwykły trwać w jednej parafji po kilka tygodni i były dawane przez 10 do 30 misjonarzy. Z pracy tej zasłynął najbardziej św. Leonard z Porto-Mauricio (1676-1751). Autor nazywa go największym misjonarzem nowszych czasów. Przemożna była jego wymowa. Nadzwyczaj surowy prowadził z towarzyszącymi mu braćmi żywot: posty, sypianie na deskach, codzienne biczowanie, bezwzględne milczenie. Miał zawsze ze sobą brata kwestarza, który misjonarzom z uproszonych darów zastawiał stół. Każdą misję rozpoczynał św. Leonard od kazania o imieniu Jezusowem. Rozwinięto sztandar z monogramem Chrystusowym. O zmroku odbywała się procesja pokutna i przed spaniem rozkołysały się największe dzwony, wzywające do modlitwy za grzeszników zatwardziałych. Miały one pozatem znaczenie psychologiczne: „gdy niejeden ze słuchaczy po powrocie (z kazań) do domu zdradzał chęć przywiązania się do rzeczy doczesnych, ponure uderzenia dzwonu grzeszników przypominały mu te prawdy, przed któremi pragnął się zabezpieczyć". Leonard nie opuścił nigdy parafji, nie urządziwszy drogi krzyżowej. Przez nią, wiedział to z doświadczenia, utrwala się owoce misji. Droga krzyżowa była mu „baterją przeciw piekłu". 572 tych „bateryj" własną ręką poświęcił.

Pod wpływem ruchu franciszkańskiego rozwinęły się niejedne z tych form, w których przejawia się dziś u nas życie religijne. Żłóbek znano już przed św. Franciszkiem. Ale jemu zawdzięczamy rozpowszechnienie tego miłego zwyczaju. Nabożeństwo do imienia Jezusowego, kult Eucharystji, męka Pańska, droga krzyżowa, kult Serca Jezusowego, ostatecznie i święto Chrystusa-Króla z franciszkańskiej religijności czerpały soki. Dziś wielu z ich misjonarzy przykładem dawnych braci rozwijają w kazaniach sztandar Chrystusa-Króla. — Z tego samego podłoża wyrosły niektóre święta M. Boskiej, „Anioł Pański", msze sobotnie ku czci N. M. P., dzień św. Józefa i święto Opieki św. Józefa. W ostatnim rozdziale daje nam autor obraz dzisiejszego życia franciszkańskiego, jego organizacji, pozatem pogląd na świętych, których zakon wydał. W „dodatku" dowiadujemy się o losach franciszkanów francuskich po restauracji zakonu około roku 1850.

Dzieje Klarysek, Trzeciego zakonu, Konwentualnych i Kapucynów w omówionej książce przygodnie tylko są poruszane.

Pelplin, (Pomorze). *Ks. dr. Bieszk.*

Papieskie Dzieło Rozkrzewiania Wiary, zebrał ks. K. Bajerowicz, Prezes krajowy P. D. R. W. Poznań. 1928.

Jest to broszurka o 26 stronach, w której znajduje się opis Pap. Dzieła Rozkrz. Wiary, jego sposób działania, zbiór przywilejów i odpustów, statut aprobowany dla Polski, materjał do urządzania wieczornic, do konferencyj i kazań misyjnych, spis dyrektorów diecezjalnych. — Cena 65 groszy. — Nabyć można w Księgarni św. Wojciecha, Pl. Wolności 1, w Poznaniu — oraz w Biurze Misyjnem w Poznaniu, Ostrów Tumski 1 (Pałac Arcybiskupi).

Broszura niniejsza jest konieczną dla każdego, kto się interesuje sprawą misyjną, kto zakłada lub pragnie założyć Pap. Dzieło Rozkrz. Wiary, kto jest jego członkiem lub kierownikiem. Pamiętajmy też, że jest wolą Ojca św. a zatem i każdego Księdza Biskupa, aby każdy katolik, chcący wspomagać misje, jak to jest jego obowiązkiem, należał przedewszystkiem do Pap. Dzieła Rozkrz. Wiary, a następnie też i innym dziełom misyjnym pomagał.

Kto pragnie zamawiać niniejszą broszurkę przez Biuro Misyjne (Poznań — Ostrów Tumski, 1) może przesłać odpowiednią kwotę przez P. K. O. „Kasa Kurji Arcybiskupiej 200.423“, przekazem albo też w znaczkach pocztowych.

Kazania misyjne. Niestety, mało dotąd mamy kazań misyjnych, któreby służyły za materjał propagandowy do szerzenia zainteresowania i umiłowania spraw misyjnych, a zarazem jako mniej lub więcej gotowe podręczniki do kazań parafjalnych. Co prawda tu i ówdzie, jak naprzykład w Nowej Bibljotece Kaznodziejskiej, ukaże się kazanie, prawdą jest, że księża głoszą kazania misyjne, lecz wartoby te materjały wydać, choćby na początek skromnie to wypadło, w osobnej książce. Jest w druku obecnie 12 konferencyj misyjnych — tłumaczenie włoskiego *„Il Propagandista delle Missioni“*, Mioni'ego [1]) — a mogą one służyć za materjał nietylko do odczytów ale i do kazań. Ukazała się też mała broszurka u ks. ks. Salezjanów pod tytułem „Pamiątka Dnia Misyjnego“ zawierająca treściwe kazania oraz kilka odczytów i deklamacyj misyjnych [2]).

Naogół jednak, jak dotąd, trzeba się posługiwać podręcznikami obcemi. I tak ukazały się w języku niemieckim znakomite kazania misyjne ks. Roberta Streita O. M. I. w trzech tomach. Pierwszy tom zawiera trzynaście kazań, opracowanych ściśle na słowach i przykładach Ewangelij św., a całość zmierza do wykazania, iż poganie powołani zostali do wiary św. Drugi tom wskazuje w siedemnastu kazaniach na to, jaka jest wola Boża, mianowicie aby wszyscy ludzie stali się dziećmi Boga; dzieło apostolskie nie wyklucza nikogo, zatem i poganie są tak samo dzisiaj do tego szczęścia powołani, jak nasi ojcowie swego czasu zostali nawróceni przez misjonarzy, którzy się na to poświęcili. Gdyby nie oni, bylibyśmy dotąd poganami i nie mielibyśmy prawa do nieba. Zatem

---

[1]) „Propaganda Misyjna“ nabyć można w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu oraz w Biurze Misyjnem — Poznań — Ostrów Tumski, 1.

[2]) Pamiątka dnia Misyjnego — Warszawa, Lipowa 14 — 1 zł.

z wdzięczności za odebrane te największe łaski winniśmy się starać o zbawienie pogan. W trzeciej i ostatniej części rozwija autor w czternastu kazaniach dzieło apostolskie, posługując się do tego jako podkładem obrazami i opowiadaniami ewangelicznemi. Ostatnie kazanie ma za temat sąd ostateczny, na którym wszyscy będą sądzeni — dobrzy i źli chrześcijanie i poganie. Tam zawstydzeni będą ci chrześcijanie, którzy mogli się przyczynić do zbawienia niejednej duszy pogańskiej, a tego nie uczynili.

Inny autor, O. Antoni Huonder T. J., wydał również trzy tomy kazań pod tytułem „Misje na ambonie i w stowarzyszeniach". Tom pierwszy zawiera 156, drugi tom 160, a trzeci tom 212 stron.

W tych kazaniach m. i. dla stowarzyszeń tak męskich jak i żeńskich osobne przesuwają się w naukach postacie misyjne, pociągające gorące, młode serca do naśladowania. Iluż to świętych wykazują pola misyjne — i to tak z pomiędzy misjonarzy jako też pomiędzy nawróconymi, którzy nieraz walczą o palmę męczeństwa. I tutaj często, jak autor w dalszem kazaniu rozprowadza, Komunja św. daje moc i siłę do wytrwania. Komunja św. odpędza daleko zabobony i sztuki szatańskie. A jak wspaniale przedstawia się prawdziwa katolickość Kościoła św. w krajach misyjnych, czego t. j. powszechności zupełny brak daje się odczuwać w innych wyznaniach. Pochód zwycięski Kościoła kończy się wspaniałym śpiewem na cześć Chrystusa eucharystycznego w jego panowaniu miłości nad całym światem.

W dalszym tomie przedstawia autor krok za krokiem Chrystusa Pana jako obraz i przykład misjonarza, począwszy od opuszczenia rodziny, poprzez prace, cierpienia i śmierć, bądź przez zupełne wyrzeczenie się, bądź przez wylanie krwi za zbawienie świata.

Do dwóch starszych autorów dochodzi teraz trzeci, O. Beda Danzer O. S. B., który niedawno, bo roku zeszłego, wydał tom o 275 stronach p. t. „Myśl misyjna na ambonie". Bardzo praktyczne to dziełko podaje na poszczególne niedziele materjał, jaki o dziele misyjnem tak obficie znaleźć można w liturgji. Pożyteczne ma wskazówki, ułatwiające zastosowanie tekstów ewangelji do kazań misyjnych. Osobliwie w ostatnich 14 naukach, dobrze opracowanych, znajdujemy kazania misyjne na rozmaite święta i okoliczności. Zapewne, że dziełko niniejsze wiele da pomocy tym, którzy z niego korzystać będą.

Ks. K. Bajerowicz.

Ks. Józef Lubelski. **Chrystus i grzesznicy.** Wyd. 2. Tarnów, Jeleń. 1928. Str. 108 in 8-o.

Prostą mową, jasnem rozumowaniem, wnikliwem wyczuciem naprawdę udało się autorowi przypomnieć czytelnikom pobożnym „kilka obrazów z życia Pana Jezusa, w których przebija się Jego niezmierzona miłość ku grzesznikom" (str. 8). Na przypowieściach o miłosiernym samarytaninie, o dobrym Pasterzu, o synu marnotrawnym, i na postępowaniu Jezusa z Faryzeuszami, z celnikami, z Samarytanami, z Magdaleną, z jawnogrzesznicą, z Piotrem, z Judaszem, z dobrym łotrem, z Tomaszem każdy się przekona, „jak

łagodnym i miłosiernym w porównaniu z ludźmi jest Zbawiciel, jak kocha biednych, grzesznych ludzi" (str. 63). Na pytanie o przyczyny ustanowienia sakramentu Pokuty, a bardziej jeszcze Najśw. Sakramentu „jedna jest tylko odpowiedź trafna: Ukochał ludzi, ukochał grzeszników" (str. 92). Końcowe zdanie książki „Kochaj — kochaj Jezusa!" (str. 106) to najprzedniejszy owoc, jaki się tu zerwie dla siebie i dla drugich.

Ks. A. S.

Ks. J. B. Chautard Z. C. R. — **Życie wewnętrzne duszą apostolstwa.** Z 11-go wyd. fr. przeł. A. Szczepaniakowa. Warszawa, 1928. Wyd. ks. Pallotynów, (Krakow. Przedm. 71). Str. 287. Cena 3 zł.

Ta poczytna książka (w oryginale „L'âme de tout Apostolat) jest poważnem i głęboko ujętem memento dla kapłanów do oparcia całej swej apostolskiej pracy na niewzuszonym fundamencie życia wewnętrznego. Księża mogą z niej korzystać do rozmyślań, do czytania duchownego, do konferencyj dla kleru, a nadto do miesięcznych i rocznych rekolekcyj. Tu jednak użyteczność jej się nie kończy. Mogą z niej odnieść korzyść czynne zgromadzenia zakonne i liczni apostołowie świeccy, pracujący w rozlicznych organizacjach katolickich. Encykliki papieskie coraz głośniej nawołują świeckich do akcji katolickiej. Duchowieństwo, chcące ten głos papieski spopularyzować, może z książki O. Ch. opracować kilka przemówień lub kazań o apostolstwie świeckich, prawiąc o niem w bractwach, sodalicjach i w stowarzyszeniach katolickich.

Richaud. **Veillées de Prière.** Paris, Téqui, 1928. Pages XVI et 142 in 12-o.

Diecezjalny kapelan harcerstwa zna doskonale duszę młodzieży, jej potrzeby i zainteresowania, to też umie trafić do tej duszy. Świadkiem wymownym te wieczorne gawędy — modlitwy, te proste a wzniosłe rozmyślania w obozowem życiu harcerzy w 11 rozdziałach, — ten regulamin dzienny harcerza francuskiego w 8 rozdziałach, te modlitwy i rachunki sumienia harcerskie w końcu książki. A wszystko takie proste, takie składne, takie żywe, takie młodzieńcze, takie Boże, że już przy czytaniu widzi się twarze chłopców zasłuchane w mowę swego ks. kapelana. Każdy duszpasterz zaczerpnie tu świeżości do swoich przemówień, a najbardziej duszpasterz młodzieży. Dla kierowników harcerstwa i dla harcerzy dzieło ks. Richaud ma wartość niepospolitą.

Ks. A. S.

Abbé Paulin Giloteaux. — **Patriotisme et Internationalisme.** Paris, Téqui, 1928, 288 p., 12,50 fr.

Jest to popularna praca socjalna, zestawiona z artykułów prasowych na takie tematy, jak ojczyzna, wojna, pokój, międzynarodówka i Liga Narodów. Wartość jej polega na tem, że popularnie i sumiennie wykłada naukę katolicką o tak aktualnych i doniosłych dzisiaj zagadnieniach. Sam wykaz tematów świadczy, jak może być wykorzystana praca ks. Giloteaux. Nadaje się przedewszystkiem jako materjał do wykładów na zebraniach stowarzyszeń katolickich, a nawet do mów na wiecach Ligi Katolickiej.

BIBLJOGRAFJA HOMILETYCZNA WŁOSKA.

„Przegląd Homiletyczny“, co zawsze z taką skrupulatnością podaje wykaz literatury kaznodziejskiej, dotychczas za mało uwzględniał Włochy, gdzie przecież kaznodziejstwo wzbiło się na znaczne wyżyny i może się poszczycić wcale pokaźnym dorobkiem literackim tak pod względem jakościowym, jak też ilościowym. Chcąc wypełnić tę lukę, podajemy tu zestawienie celniejszych dzieł zarówno z zakresu teorji, jak i praktyki kaznodziejskiej.

A. TEORJA, HISTORJA KAZNODZIEJSTWA.

S. Alfonso de Liguori: Istituzioni ai predicatori.
Angelini: Lezioni di Eloquenza sacra dettate dal 1846 al 1892.
Audisio: Lezioni d'eloquenza sacra (dzieło klasyczne, wyczerpane).
Barbieri G: Memoria sulla sacra eloquenza in Italia. Venezia.
Botti: Precetti di sacra Eloquenza.
Carmagnola: Per la buona predicazione. Trattato di sacra Eloquenza.
Fanucchi D: La moderna predicazione confrontata colle istituzioni di S. Carlo Borromeo: „Il seminarista educato alla sacra predicazione“.
Fornari V: Arte del dire. Napoli, 1881.
Gallerani Alessandro D. C. d. G: La guida del predicatore. Modena, 1905.
Gatti Seraf.: Lezione di sacra eloquenza. Milano, 1859.
Geronimi: Corso di sacra Eloquenza ad uso dei seminari.
Ghino Ghini, don. marchese: Brevi riflessioni intorno al sistema moderno di predicazione. Cesena, 1891.
Lilla: Saggio di sacra Eloquenza.
Malmusi: Memorie della eloquenza del p. Segneri.
Mullois: Dell' eloquenza popolare.
Natucci Salv., dott., canonico: Benedetto XV e la sacra predicazione. Vade mecum del predicatore. Firenze, 1918.
Paravia Al.: Lezioni di sacra Eloquenza. Treviso, 1871.
Zanotto: L'arte della sacra Eloquenza ad uso dei seminari.
„ Storia della sacra Eloquenza al tempo dei SS. Padri.
„ Storia della predicazione nei secoli della letteratura italiana.

B. PRAKTYKA.

I. Kazania i nauki apologetyczne.

Alimonda: L'uomo sotto la legge del soprannaturale. Conferenze.
„ Il soprannaturale nell'uomo. Conferenze.
„ I problemi del secolo XIX. Conferenze.
„ Lutero e l'Italia.
Bausa: Scritti editi ed inediti.
Franco: Divinità del cristianesimo. Il protestantismo. Conferenze.
Monetti: Verso la luce. Verso la vita. — Conferenze.
Montefeltro da, Agostino: Conferenze religiose e sociali. Torino (Przekład polski).
Ruiz-Amado: Ho perduto la fede. Conferenze sull'incredulità.
„ Il modernismo religioso. Conferenze.
Scotti-Pagliara: La morale vecchia e la morale nuova. Conferenze.
„ Cattolicismo e Protestantismo. Conferenze.
Ventura: La ragione filosofica e la ragione cattolica.
Zocchi: Il soprannaturale nella Chiesa e nella società.

II. Nauki dogmatyczno-moralne.

Bonomelli: Misteri cristiani.
Calderoni: Dogma e Morale, ossia prediche polemiche e morali ecc.
De la Colombière: Discorsi sacri.
Franco: Sermoni per le varie feste dell'anno.
„ Prediche apologetiche e morali.
Petruzzella: Dogmi e doveri del Cristianesimo.
Stocchi: Discorsi sacri.
Ventura: La Confessione, l'Eucaristia e l'Eternità delle pene. Conferenze inedite.
Zocchi: Cristo nella famiglia. Ragionamenti.

III. Kazania o świętych (Panegiryki).

Alessi: Panegirici.
Alimonda: Panegirici.
Bindi: Panegirici e altri discorsi sacri e morali.
Brogialdi: Fede e Amore. Discorsi e Panegirici.
Del Corona: Panegirici.
„ Nuovi Discorsi e Panegirici.
Gallerani: I nostri Eroi.
„ La buona Madre.
Granelli: Panegirici.
Mistrangelo: Panegirici.
Schiaffino: Panegirici.
Scotti — Pagliara: Novissima collana Panegirica di Celebri Oratori per le feste di nostro Signore, della B. Vergine e dei Santi (Dzieło wielotomowe).
Segneri: Panegirici.
Zocchi: Panegirici.

IV. Homilje.

Benedetti: I Vangeli delle Domeniche predicati al popolo del nostro tempo.
Bersani: Triplice corso di Evangeli.
Bindi: Lettere pastorali e Omelie.
Bonomelli: Omelie sui Vangeli e sulle Epistole communi.
„ Nuovo saggio di Omelie per tutto l'anno.
Botti: Omelie sui Vangeli delle Domeniche, fatte al popolo secondo i bisogni dei tempi e discorsi morali da recitarsi nella solennità di precetto.
Buetti: Evangeli Eucaristici per tutte le Domeniche dell'anno.
„ Vangeletti di cinque minuti per le messe basse.
„ Secondo corso di Vangeletti di cinque minuti per le messe basse.
Carmagnola: Il Vangelo delle Domeniche spiegato alla gioventù e al popolo.
De la Luzerne: Spiegazione degli Evangeli delle Domeniche e di alcune feste principali dell'anno.
Diletti: Omelie parrochiali sui Vangeli delle Domeniche e degli altri giorni festivi di precetto.
Frassinetti: Spiegazioni del Vangelo al popolo.
Ghilardi: Omelie sulla Redenzione.
Gusmini: Omelie popolari sulla concordanza evangelica.
Jorio: L'Evangelo e i bisogni moderni. Disegni di Omelie.
Liguori: Sermoni sui Vangeli di tutte le domeniche dell'anno.

Maffi: Lettere pastorali, Omelie, Discorsi.
Musso: Spiegazione dei Vangeli di tutte le Domeniche dell'anno. Torino, 1908.
Nardi: Verbum Vitae. Rifflessioni sui Vangeli.
Parocchi: Opere pastorali.
Rossi: Catechismo innestato sui vangeli delle Domeniche e sulle feste principali dell'anno.
Schüller: Triplice corso di spiegazioni evangeliche per tutte le domeniche e feste dell'anno.
Scotti—Pagliara: Omelie per le Domeniche.
Svampa: Venti anni di Episcopato. Opere pastorali.
Trinchera: Omelie parrochiali per tutte le Domeniche e per le altre feste dell'anno. (Opera premiata al Concorso del Bolletino dei Parroci).
Ventura: Il tesoro nascosto, ovvero Omelie sopra la Passione del N. S. Gesù.
„ Omelie quadragesimali sulle parabole evangeliche, predicate nella Basilica Vaticana.
„ Spiegazioni evangeliche, contenenti la scuola dei miracoli, ovvero Omelie sopra le principali opere della potenza e della grazia di Gesù Cristo, Figliuolo di Dio e Salvatore del mondo.

V. Kazania na tematy biblijne.

Alessi: Lezioni scritturali. Conferenze biblico-parenetiche.
Curci: Lezioni esegetiche e morali sopra i quattro evangeli concordati.
Finetti Fr.: Lezioni scritturali sugli Atti degli Apostoli e sull'Antico Testamento.
Leroy: P. Ippolito S. J.: Gesù Cristo, la sua vita e il suo tempo (Z franc.).

VI. Kazania Wielkopostne i Adwentowe.

Alessi: Conferenze quaresimali.
Arrigoni: Prediche quaresimali.
Bersani: Quaresimale domestico.
Carmagnola: La Ristorazione in Cristo. Quaresimale.
„ Avvento. Novena e festa del S. Natale. Trenta discorsi.
Centurione: Duplice corso di discorsi brevissimi per l'Avvento, e una raccolta di discorsi di circostanza.
De Fontana: Il Traviato.
Giordano: Quaresimale.
S. Leonardo da Porto Maurizio: Prediche Quaresimali.
Mondin: Quaresimale quotidiano predicato a Roma, l'anno 1888.
Scotti-Pagliara: Prediche per la Quaresima.
Segneri: Il Quaresimale. Padova, 1926. (Przetłumaczono na polski).
Spedaliere: Conferenze quaresimali.
Taschetti: Predicazione quaresimale.
Tornielli: Quaresimale.
Trento: Quaresimale.
Trucco: Avvento e festa del S. Natale.
Venini: Quaresimale.



Verdona: Prediche per l'Avvento, e Ragionamenti per la Novena del S. Natale.
„ Quaresimale.
Zocchi: Quaresimale. (c. d. n.).

Zestawił ks. dr. I. Bobicz.